



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

WIELKI
KONKURS ŚWIĄTECZNY
„DZIŚ I JUTRO“

na ostatniej stronie

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 20 i 27 grudnia 1953 r.

Nr 51-52 (421-422)

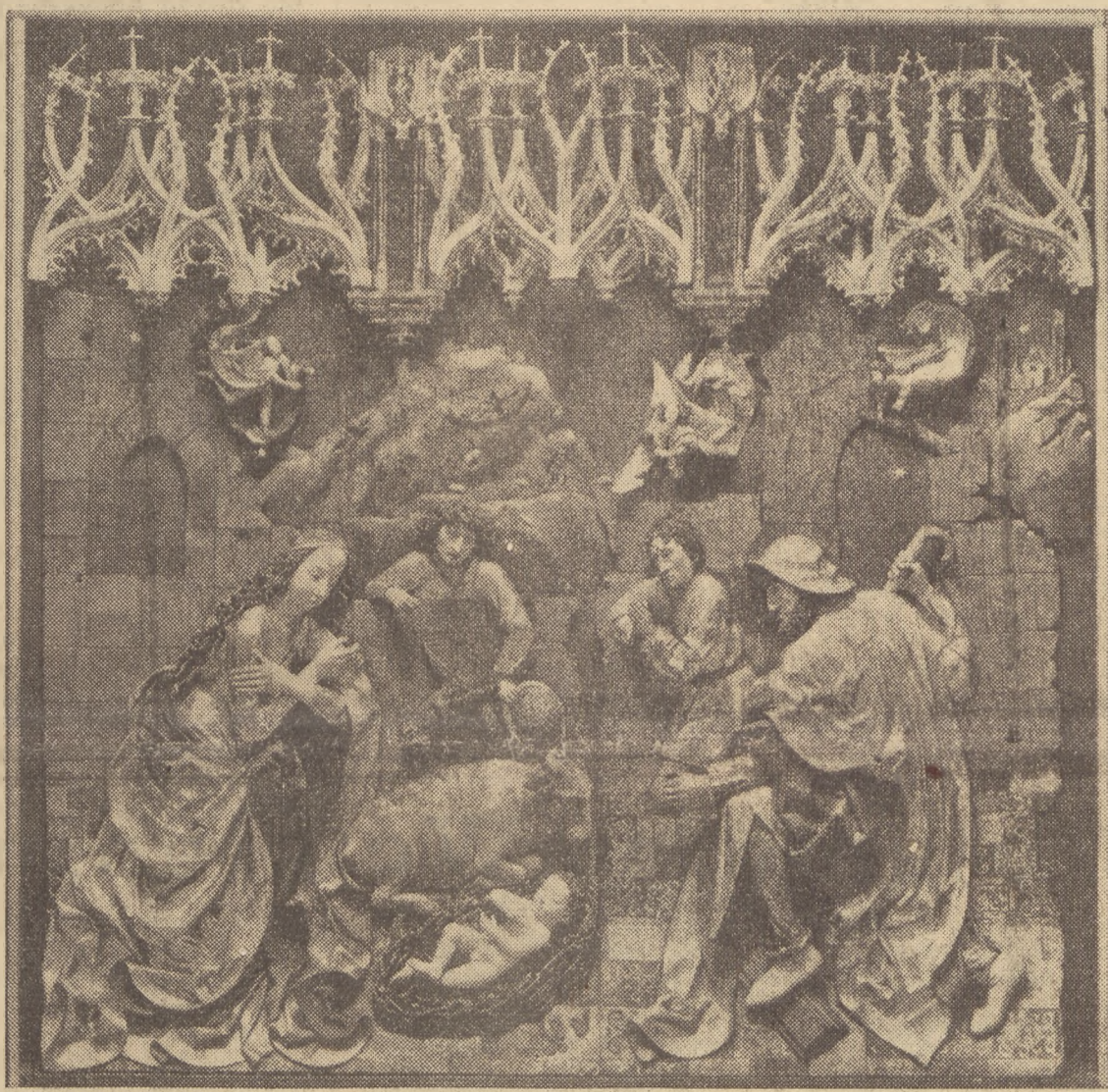
TAJEMNICA WCIELEŃ

BOŻE Narodzenie nie jest wprawdzie najważniejszym świętem Kościoła i nie zajmuje pierwszego miejsca w jego liturgii, niemniej — w świadomości katolików — wysuwa się ono na czoło wszystkich innych. Nie ma chyba drugiego katolickiego święta, z którym wiązałyby się dla każdego z nas tyle specyficznego nastroju i przeżyć — mniejsza w tej chwili o ich głębię i trwałość. Można powiedzieć, że Boże Narodzenie jest „absorbujące“. Absorbuje psychikę, jak żadna inna kościelna uroczystość. Tradycja związała z nim liczne zwyczaje i bogatą symbolikę, wszczepiła je głęboko w nasze życie rodzinne. Zapewne ta właśnie mnogość elementów tradycyjno-zwyczajowych, bardzo pięknych, ale z punktu widzenia liturgii w gruncie rzeczy drugorzędnych, spowodowała, że nasze przeżycia związane z Bożym Narodzeniem bywają często natury niekoniecznie religijnej. Powiedzmy inaczej, przeżycia, o ile to możliwe czysto religijne, nie są tu najważniejsze i nie zajmują zbyt wiele miejsca.

Wszystkie na wpół świeckie zwyczaje związane z Bożym Narodzeniem mają swój głęboki sens. Mają również swe odpowiedniki w dogmatycznej i moralnej treści święta i są tych treści symbolami. Można by im jednakże zarzucić, że w dużym stopniu przysłoniły one sobą treść, którą miały reprezentować, i zatrzymały na sobie myśl, którą miały skierowywać dalej; że raczej na sobie skoncentrowały nasze przeżycia, zamiast dopomóc nam w przeżyciu tych najgłębszych i najistotniejszych — religijnych wartości święta.

Niesłuszne jednak byłoby twierdzenie, że przeżycia związane z Bożym Narodzeniem są bezwartościowe w tej formie, w jakiej praktycznie występują. Wręcz przeciwnie, wartość ich jest ogromna. Przyczyniały się one i przyczyniają, jak żadne inne, do wzmocnienia więzi uczuciowej z wiarą. A jeśli nie spełniają one w pełni swego właściwego zadania — to dlatego, że nie wnikały dostatecznie głęboko w sens Tajemnicy Wcielenia, chwytają tylko pewne jej elementy, zatrzymują się na jej progu. Z drugiej strony widocznie nie przenikają one również dostatecznie naszej świadomości, bo czyż w przeciwnym wypadku byłoby możliwe, aby tak mało wplwowały na nasze postępowanie i styl życia?

Jeśli te z istoty swej wartościowe przeżycia nie trafiają w sedno, to nie jest to wina pięknych, na wpół świeckich zwyczajów związanych z Bożym Narodzeniem. Winę ponosi tu tylko brak refleksji z naszej



Wit Stwos — Narodzenie Pańskie

Z MYŚLĄ O ŚWIĘTACH BOŻEGO NARODZENIA ORAZ
O NADCHODZĄCYM NOWYM ROKU — WSZYSTKIM
WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM
„DZIŚ I JUTRO“ NAJLEPSZE ŻYCZENIA SKŁADA
ZESPÓŁ REDAKCYJNY

strony. Zastanówmy się więc, na czym właściwie polega przeżywanie święta i jaki ma ono sens.

KAŻDE święto Roku Kościelnego jest jakąś pamiątką. Wielkie uroczystości tzw. *Proprium de tempore*, to pamiątki, które były etapami dramatu Wcielenia i Odkupienia a także Narodzin Kościoła. Zdarzenia te rozgrywały się w płaszczyźnie faktów, jeśli nie wprost fizycznych (jak narodzenie czy śmierć Chrystusa), to w każdym razie zmysłowo uchwytanych, jak Zesłanie Ducha Świętego, który wśród „szumu nadchodzącego wichru“ naznaczył głowy apostołów piętnem ognistych języków. Dzięki temu zdarzenia te stają się dla nas konkretne, same przez się realne. Ale każde z tych zdarzeń dokonywało się poza płaszczyzną fizyczną również i w płaszczyźnie nadprzyrodzonej, niemniej od niej realnej, a nieporównanie waż-

niejszej. To, co dokonuje się w płaszczyźnie fizycznej, służy temu, co dokonuje się w płaszczyźnie nadprzyrodzonej. Chrystus przychodzi na świat dlatego, aby dokonała się Tajemnica Wcielenia, która z istoty swej posiada charakter nadprzyrodzony. Podobnie umiera On na krzyżu, aby dokonać Odkupienia.

Zdarzenia te pociągają za sobą pewne trwałe następstwa, powodują w płaszczyźnie nadprzyrodzonej trwałe zmiany, są w niej jakimiś etapami. Jeśli mówimy, że święta Roku Kościelnego są pamiątkami tych zdarzeń i Tajemnic, nie znaczy to wcale, aby miały być one tylko ich przypomnieniem i obchodem. Sens ich jest o wiele głębszy.

Cel święta kościelnego jest dwojaki: pierwszy — to oddanie chwały Bogu, a zwłaszcza podziękowanie Mu za to, co dla nas uczynił przez to właśnie zdarzenie, którego pamiątką

jest święto, i prośba o łaski, w sposób szczególny z danym wydarzeniem związane. Drugi — to głębokie przeżycie treści tego zdarzenia, jego nadprzyrodzonego sensu. Jedno i drugie ułatwia nam liturgia przez swe teksty, specjalnie dobrane do każdej uroczystości, i związane z nią obrzędy. Cała ta liturgia „oprawa“ jest z jednej strony środkiem oddawania czci Bogu, z drugiej strony — ma nam dopomóc w przeżyciu uroczystości. Ten drugi cel powinien mieć dla katolika również i świeckie zwyczaje związane z treścią święta i będące w ten czy inny sposób tej treści symbolami.

Przez przeżycie rozumiemy tu nie zaangażowanie uczuciowe, może bardzo silne i chwilowo absorbujące, ale z istoty swej nietrwałe. Przeżycie ma być zrozumieniem nadprzyrodzonego sensu zdarzenia, które święcimy. Ma być wysiłkiem myśli ujmującym możliwie naj

głębiej i najpełniej jego obiektywne wartości. Przeżycie każdego święta ma nas zbliżyć do Boga, wzbogacić naszą osobowość, wpłynąć na naszą postawę i nasze postępowanie. Zdarzenia te posiadają nie tylko treść dogmatyczną. Każde z nich kojarzy się nam z pewną jemu właściwą postawą praktyczną, postawą w stosunku do Boga i do ludzi. Nasza refleksja musi tę postawę subiektywizować, czynić ją bardziej naszą własnością.

Oczywiście, że to przeżycie, to zrozumienie i to kształtowanie postawy nie jest i nie może być wyłącznie naszym własnym wysiłkiem. Najwięcej czyni tu Bóg przychodząc nam z pomocą swą specjalną łaską związaną z danym świętem. Skuteczność tej łaski zależy jednak od stopnia naszego osobistego wysiłku, od naszego z nią współdziałania.

W ten sposób każde święto Roku Kościelnego staje się czynnikiem i etapem naszego osobistego postępu, a coroczne przeżywanie go na nowo pozwala nam odkrywać i rozumieć coraz lepiej zawartą w nim prawdę i pogłębiać naszą chrześcijańską postawę.

JEŚLI chcemy w pełni zrozumieć sens Bożego Narodzenia — musimy sięgnąć poza kołody i choinkę, a nawet poza żłobek — do samej jego teologicznej prawdy.

Grzech pierworodny, zrywając więź łączącą człowieka z Bogiem, stworzył przepaść tak głęboką, że była ona dla człowieka nie do przebycia. Istotą tego grzechu była obraza Boga. Aby ową świadomie zerwaną łączność na nowo nawiązać, ludzkość musiała dać Bogu zadośćuczynienie za swą winę. Ponieważ jednak wielkość obrazy mierzy się godnością osoby obrażonej, a godność Boga jest nieskończona, więc i to zadośćuczynienie winno było posiadać wartość nieskończoną. Wtedy tylko byłoby ono proporcjonalne do winy i wystarczające. Takiego zaś zadośćuczynienia o nieskończonej wartości ludzkość oczywiście dać Bogu nie mogła. Przekraczało to możliwości jej skończonej natury. Warunkiem tym mógł sprostać tylko pośrednik łączący w sobie naturę boską i ludzką. Stał się nim Jezus Chrystus, który jako Bóg-Człowiek mógł dać zadośćuczynienie w imieniu ludzkości, posiadające jednocześnie nieskończoną, boską wartość.

Syn Boży, druga Osoba Trójcy Świętej, przyjął w łonie Matki-Dziewicy naturę ludzką w sposób realny i zupełny. W Swojej boskiej Osobie połączył dwie natury — boską i ludzką. Jest rzeczywiście Bogiem i rzeczywiście człowiekiem. To po-

(Dokończenie na str. 2)

Ks. Wacław EBOROWICZ

Ciągła aktualność św. Augustyna

ŚMIAŁA, nie licząca się z względami handlowymi inicjatywa Paxu sprawiła, że otrzymaliśmy św. Augustyna w ojczywej szacie językowej. Wydawcy postanowili przy swoim mowie polskiej najwcześniejsze dzieła wielkiego biskupa z Hippony. Pomysł zorganizowania całego zespołu współpracowników i zrealizowanie tego pomysłu świadczy niewątpliwie o jednym — o ciągłym zainteresowaniu się postacią syna św. Moniki. Czym się ono tłumaczy? Wszak to autor starożytny, nie pociągający czytelnika łatwymi współczesnymi tematami, przeciwnie, chętnie zagłębiający się w problemach abstrakcyjnych, uprawiający tylko i wyraźnie trudną metafizykę teistyczną. A jednak ta dusza iście faustowska (Sawicki), ta niezmiernie fascynująca osobistość — ciekawij dzisiejszego człowieka, ten mąż, w którym tak dziwnie są splecione wyżyny i niziny, zwykła zmysłowa miłość i heroizm miłości Bożej, codzienna praca duszopasterza, chciało by się powiedzieć proboszcza małego miasteczkowego, wraz z twórczością rzymskiego patriarchy, pisarza bolejącego nad obumierającą ojczyzną. Za gadnienia trudne, oderwane, ale wiekście interesujące dzieci ziemi. Dzieła Augustyna zawierają jeszcze tę pociągającą stronę, że obiektywnym augustyńskim filozofii i teologii łączy się z subiektywnym odcieniem osobistych przeżyć i rozważań ich autora. Augustyn to nie nauczyciel, teoretyk, zasuszony erudyta, ale młodzieniec, mężczyzna, a nawet starzec, który wie, że żyje i rozumie problematykę życia.

Dokniemy tylko odżywiającej aktualności doktryny Augustyna. Najmodniejsze kierunki filozoficzne — fenomenologia czy egzystencjalizm — miały i w pewnym znaczeniu uznają w Augustynie swego poprzednika. Współczesna myśl katolicka zawiera obok prądu tomistycznego także augustyński, wybitni przedstawiciele tego ostatniego są chlubą nauki katolickiej (np. Boyer i Cayré we Francji, Schmaus w Niemczech). Teologia katolicka w epoce renesansu patrystyki pilnie studiuję zarówno pod względem historycznym, jak i systematycznym dzieła Doktora Łaski (Karol Adam). Wzmagająca się religijność współczesnej inteligencji czerpie swe natchnienie od Augustyna (L. Bertrand).

Na tym tle współczesnego zajęcia się Doktorem Łaski, które jest tylko jednym z przejawów ciągłego zainteresowania Augustynem, rozumiemy i oceniamy ważność przedsięwzięcia Paxu i ze wzruszeniem bierzemy do ręki estetycznie wydane dwa tomy jego dialogów, aby wejść w bezpośredni kontakt z najbliższym spośród tych ludzi, co żyli przed wiekami, bo „jego myśli i uczucia wszędzie budzą oddźwięk, gdzie biją niespokojnie serca“ (K. Michalski).

Najbardziej przekonującym potwierdzeniem tego jest raport z rozmowy odbytej w dzień urodzin św. Augustyna o szczęściu. Wiekuisty problem, w najrozmaitszy sposób wyjaśniany, a ciągle aktualny, szczególnie jeśli idzie o środki osiągnięcia szczęścia. Dla Augustyna szczęście to znalezienie Boga, najwyższej miary. Miary nie ma bez prawdy, utożsamiającej się z mądrością. Jak widzimy, dla Augustyna szczęście, wbrew łatwym, dyktanckim uogólnieniom, nie jest stanem uczuciowym, ale zaspokojeniem potrzeb intelektualnych. W tym ujęciu łączy się intelektualizm z życiowymi aspiracjami człowieka.

*) Święty Augustyn. Pisma filozoficzne. Tom I. Dialogi filozoficzne. O życiu szczęśliwym. Przeciw akademikom. O porządku. Tom II. Dialogi filozoficzne. Soliloquia. O nieśmiertelności duszy. O wielkości duszy. Warszawa, Pax, 1953.

Czyż jednak drugi dialog, Przeciw akademikom, nie jest, jak mi mówiono niedawno, tylko akademicki? Przeciw temu należy bezwzględnie zaprotestować i ktokolwiek zada sobie trud przeczytania tego dialogu, podzieli nasze zdania o jego aktualnej wartości. Pomijając walor historycznych informacji Augustyna, oraz znaczenie jego poszczególnych argumentów przeciw sceptykom, wystarczy wskazać na zagadnienie kryterium prawdy. Dla św. Augustyna owym sprawdzianem jest oczywistość obiektywna, do której dochodzi rozum w swej intuicji przedmiotów niematerialnych. Aczkolwiek Augustyn bardzo krytycznie ocenia wartość poznania zmysłowego, nie zaprzecza jednak całkiem jego znaczenia. Umie on na zawsze zaktualizować teorię poznania, twierdzi bowiem na kartach dialogu Przeciw akademikom, że osiągnięcie prawdy jest koniecznym warunkiem zdobycia szczęścia.

Ostatni dialog to rozmowa o porządku. Roztrząsania św. Augustyna i jego uczniów powinny być przedmiotem rozważań i miłośników porządku, i jego przeciwników. Wszakże za gadnieniem stanowiącym ośrodek dialogu — jest problem zła i jego stosunku do Opatrzności: tam znajdujemy wspólną nić przeplatającą omawiane pisma św. Augustyna — łączność miedra z Bogiem. Autor wypowiada szczególne uwagi o genezie wiedzy. Pochodzenie jej wywodzi się z autorytetu i rozumu. Nie są również pozbawione interesu uwagi o materiale przerabianym w szkole starożytnej.

Wskazaliśmy na pewne bardziej pociągające strony trzech dialogów św. Augustyna, które wypełniają I tom jego pism filozoficznych w wy-

danu warszawskim. Przechodząc do strony formalnej przekładu przypomnamy, że autorami tłumaczeń są: Anna Świderkówna (O życiu szczęśliwym), Katarzyna Augustyniak (Przeciw akademikom), Józef Modrzejewski (O porządku). Przekłady są dziełem filologów klasycznych, to też są one oparte o dobre metodyczne zasady tłumaczeń. Czasami — ale to już rzecz dość indywidualna i subiektywna — może za wiele stosowa- no w przekładzie stronę bierną.

Wstępy i komentarze, dzieło Władysława Seńki, są bardzo krótkie, podają jednak „le strict nécessaire“. Niewątpliwie w całym tomie uwidacznia się wpływ zagranicznych poprzedników, jest on jednak na ogół pożyteczny i udostępnia trudno osiągalną literaturę obcą. Oczywiście, że można by rozszerzyć i pogłębić uwagi wstępne i wyjaśniające, ale w założeniach Paxu nie leżało tworzyć wydawnictwa dla wtajemniczonych.

Z tomem drugim wkraczamy w dziedzinę rozważań samotnych autora i psychologii augustyńskiej. Te samotne rozmowy — Soliloquia — przedstawiają nam problematykę psychologiczną. Bo cóż Augustyn chce poznać? Jaką wiedzę — a nie wiarę — pragnie zdobyć i o czym? Najważniejszą — o Bogu i duszy. Niewątpliwie tak ujęty cel myśli augustyńskiej jest pewnym ściśnięciem, zwężeniem przedmiotu filozofii, ale za to jej pogłębieniem. Nie znaczy to, by św. Augustyn stał się patrym obkurczającym i jakiegokolwiek zacofania. Przeciwnie, Augustyn posiadał za obszerną kulturę ogólną, by popaść w tę skrajność; tylko jego osobiste zainteresowanie, jego pragnienie, słowem życie Augustyna skierowało jego dociekania metafizyczne

Tajemnica Wcielenia

Dokończenie ze str. 1

łączenie dwóch natur w osobie Chrystusa nazywamy w języku teologicznym „unią osobową“ lub — z greckiego — „hypostatyczną“. Termin ten został ostatecznie sformułowany przez V Sobór Powszechny w Konstantynopolu, na którym potępiono monofizytyzm, herezję twierdzącą, że Chrystus nie jest właściwie człowiekiem, bo bóstwo pochwłonoło w Nim naturę ludzką.

Natura ludzka Chrystusa, jego człowieczeństwo, nie zostało pochłonięte przez naturę boską. Zachowując swe realne istnienie uczestniczy Ono w Synostwie Bożym Chrystusa. Znaczy to, że człowiek jak my jest Synem Bożym i posiada z tego tytułu prawo do miłości Ojca. Aby połączenie obu natur było harmonijne, wymaga ono świętości ludzkiej natury Chrystusa, a więc wyniesienia Jego ludzkiej duszy i jej władz do uczestniczenia w naturze Bożej. Tę świętość człowieczeństwa Chrystusa otrzymuje poprzez działanie Ducha Świętego zsyłającego na nie łaskę uświęcającą.

Wcielenie Jezusa jest początkiem nowych czasów, punktem przelomowym w drodze ludzi do Boga. Przyjście na świat Pośrednika, Boga-Człowieka, jest pierwszym aktem dzieła Odkupienia, radosną zapowiedzią Jego rychłego dokonania.

Wcielenie Chrystusa to nie tylko konieczny warunek Odkupienia. Uświęcenie Jego, jakie dokonało się poprzez Wcielenie, to nie tylko symbol i zapowiedź przebaczenia, które po Ofierze Krzyżowej otrzyma ca-

ła ludzkość. To uświęcenie czołwieczniej natury Chrystusa jest pierwszym krokiem na drodze uświęcenia całej ludzkości, pierwszym krokiem na drodze uświęcenia każdego z nas, dokonującego się w Ciele Mistycznym mocą zasług Chrystusa na krzyżu. W dziele naszego uświęcenia Jezus Chrystus jako głowa Ciała Mistycznego Kościoła jest Pośrednikiem między Ojcem i ludźmi, tak jak w dziele Odkupienia był Pośrednikiem między ludźmi a Ojcem. Uświęcenie zaś naszej ludzkiej natury dokonuje się przez udział w świętości człowieczeństwa Chrystusa. — Nasze Synostwo Boże jest udziałem w Jego Bożym Synostwie.

Święto Bożego Narodzenia jest chyba najbardziej humanistycznym świętem Kościoła. Żadne inne święto nie mówi tak wiele i tak pięknie o godności człowieka. Nigdy natura ludzka nie została tak wyniesiona jak we Wcieleniu, gdzie stała się naturą Chrystusa, Boga-Człowieka. Nigdy zwykłe czynności ludzkiego życia nie zostały tak uświęcone i obdarzone taką godnością jak poprzez Wcielenie, jak wtedy, gdy wykonywał je Chrystus. Był on prawdziwie człowiekiem nie tylko dlatego, że posiadał ludzką naturę, ale również dlatego, że Jego udziałem było zwykłe ludzkie życie. Jako Pośrednik ofiarował On Ojcu swe ludzkie życie i swą ludzką śmierć, jako nasz Mistrz dał nam przykład chrześcijańskie-

SKŁAD JURY KONKURSU LITERACKIEGO

p. n.

„NA DROGACH KU POLSCE LUDOWEJ“

1. Prof. dr Stefania Skwarczyńska
2. Dr Witold Ostrowski
3. Mieczysław Kurzyński, red. nacz. „Tygodnika Powszechnego“
4. Tadeusz Mazowiecki, red. nacz. „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego“
5. Andrzej Krasinski
6. Stefan Lichański
7. Zygmunt Lichniak

redaktorzy „Dziś i Jutro“

na tematy teistyczno-psychologiczne. Takie zresztą były intelektualne upodobania epoki.

Zgodnie z tym nastawieniem snajdujemy w zakończeniu pierwszej księgi i w księdze drugiej augustyński dowód nieśmiertelności duszy. Jest on pochodzenia platońskiego i opiera się na niezniszczalności prawdy. Ponieważ dusza jest podmiotem niezniszczalnej prawdy, dlatego podziela ten przymiot prawdy. Jednak św. Augustyn nadaje szczególną siłę swemu dowodzeniu, bo nie uchyla się nawet od karkołomnego zagadnienia wykazania prawdziwości swego istnienia. Argument opiera się na tym, że człowiek myśli, a przedmiotem umysłu jest prawda, która jest niezniszczalna. Widać stąd, że w samym fakcie myślenia doszukuje się Augustyn dwóch bardzo ważnych stwierdzeń: wiecznego istnienia i nie-

śmiertelności duszy. Nie potrzeba chyba podnosić wagi konieczności zaktualizowania dowodów nieśmiertelności duszy. Uważamy, że nie jest najważniejszym skutkiem lektury dialogu podtrzymywanie wartości argumentów augustyńskich w całej rozciągłości. Myślimy, że trud tłumaczy i wydawnictwa opłacił się, jeśli zmusił naszą gnuśność umysłową do zastanowienia się nad tymi doniosłymi sprawami.

W trudnym i mało zrozumiałym schemacie poświęconym nieśmiertelności duszy (O nieśmiertelności duszy) Augustyn chce argumentem platoński wykazujący ten przymiot duszy na podstawie niedopuszczania przeciwieństw sprzecznych z daną istotą. Dusza z istoty swej uczestniczy w życiu i dlatego nie może umrzeć, bo śmierć jest przeciwieństwem życia. Augustyn, chrześcijanin z przekonania, choć jeszcze nie ochrzczony, uważa, że niezniszczalności nie zawdzięcza dusza sobie, ale darowi Stwórcy. Piękną myślą augustyńską jest uznanie w miłości Bożej więzów łączących duszę z niezmenną prawdą. Osobliwym akcentem drga przekonanie Augustyna o opiece Bożej nad duszą, by nie straciła swej wielkiej godności.

Wielkość i godność duszy zajmuje czytelnika trzeciego dialogu zawartego w recenzowanym tomie. Wielkość duszy jest dla św. Augustyna mocą i zdolnością tejże duszy do nabycia cnoty i osiągnięcia kontemplacji. Dzieło onawiane nie stroni od różnych subtelnosci, ale bieg jego myśli rozwija się wedle wszelkich prawideł dialektyki. Dziś najcenniejszy jest opis siedmiu stopni, po których dusza wznosi się do posiadania Najwyższego Dobra. Te rozważania św. Augustyna wywarły wielki wpływ na rozwój mistyki chrześcijańskiej. Dialog „O wielkości duszy“ szczęśliwie i zupełnie w duchu autora zamyka drugi tom Dialogów św. Augustyna. Te same formalne przymioty, które odkryliśmy w pierwszym tomie, znajdujemy i w drugim. Poszczególnych tłumaczeń dokonali: Anna Świderkówna (Soliloquia), Marian Tomaszewicz (O nieśmiertelności duszy), Danuta Turkowska (O wielkości duszy).

„Na deser“ zastawiono przed nami inną ucztę intelektualną w postaci trzech „appendixów“. Co prawda nie jest rzeczą dość zrozumiałą, dlaczego umieszczono te przyczynki na końcu książki. Przecież one dopiero pozwalają lepiej zrozumieć i wnikać w treść dialogów. Ale skoro tak się stało, musimy się pogodzić z tym stanem rzeczy.

Appendix podpisany kryptonimem J. E., przedstawia w zarysie (str. 191—198) życie i rozwój duchowy. Szkice biograficzne jest interesujące, ale dziwnym się pominięciu jakiegokolwiek

(Dokończenie na str. 11)

Konrad EBERHARDT

Tryptyk Narodzenia Pańskiego

WPROWADZENIE

I STNIEJE w kościele św. Jerzego w Norymberdze tryptyk nazwany imieniem Narodzenia Pańskiego, dzieło anonimowego gotyckiego malarza nie pierwszorzędnej zręczności, która z ciemnego drzewa nie wydobyla w całości sylwetek i kontrastów barwnych. Ciekawa jednak była jego kompozycja. W części pierwszej, — rozpoczął Zwiastowanie, jak gdyby wprowadzające do części, największej i głównej, przedstawiającej, Narodzenie, utrzymane w ciemnym tonie. Na trzeciej części — najwyraźniejszej, jasnej, artysta namalował Madonnę z Dzieckiem. Można było tej części dać tytuł Macierzyństwo. Ten wielki cykl Wprowadzenia, Wypełnienia obietnicy i Epilogu — próbował stworzyć niemal każdy z malarzy

Księżę Cosimo de Medici oglądając zamówiony przez siebie fresk powiedział, że Fra Angelico obkleił na ścianie niebo, które miał w sobie. Wyraził w ten sposób podziw dla czystości tego malowidła i jego wielkości, leżącej poza symetrią postaci i harmonią form malarskich... Gdy późniejszy poeta barw, wrażliwy i uczuciowy Giovanni Bellini podejmie ten temat i zgodnie z nakazami weneckiej szkoły ubierze postacie Anioła i Dziewicy w bogate szaty włoskiego Odrodzenia zamąci nieco tę przejrzystość. Ale to był tylko początek „pochodu” Zwiastowania przez sztukę. Leonardo posłużył się kostiumami właściwymi swojej epoce i umieścił tę scenę w kwietnym, florenckim ogrodzie, pełnym lilii i cyprysów. Ale już w wilgotnej, poprzęzynanej kanałami Flandrii Rogier van der Weyden ka

zał aniołowi Gabrielowi objawić się otoczeniu fundatorów kościoła, którzy nie byłby się zapewne fatygowali w nocy. Ale płomienny i szalony El Greco, jeden z najbardziej hiszpańskich malarzy wyraził wspaniałą i nieznaną dotąd myśl Narodzenia Boga. W jego realnym i nierzeczywistym jednocześnie świecie postaci wiotkich, wydłużających się ku niebu jak płomienie o twarzach skupionych, rozjaśniających się mistycznym poznananiem lub wyrażających zmagania wewnętrzne — przyjdzie na świat Boga musiałoby przybrać oblicze dramatu. Znika u niego nagle motyw sielankowy, idylliczny, stajenki z piernika, zwierząt ogrzewających Pana Jezusa swoim oddechem. Nie widzimy żadnego z tych ustalonych elementów dekoracyjnych. Jest tylko kamień, na którym leży mały, nagi Jezus naokoło wielkie zbierają się ludzie. Wszyscy skupili się jak wokół miejsca gdzie uderzył grom lub gdzie rozgorzał ogień. To nie małe dziecko bezbronnie — to błyskawica, która rozświetliła nagle mroczną pustkę. Wszyscy zbliżają się do źródła tego nieznanego światła, które rzuca blask na ich postacie. Ale na twarzach na próżno szukałoby się rozkwielenia i samej radości z przyjścia na świat Boga-Człowieka. Przeciwnie, twarze pasterzy wyrażają uczucia zmienne. Jedni cofają się z lekkiem, inni pochylają się w głębszej czci — Matka Boska, tym razem o drobnej, murytańskiej twarzy i palających oczach Hiszpanki złożyła ręce na piersiach i spogląda na Dziecko wzrokiem, w którym zdumienie miesza się z lekkiem i tklwością. Bo to nie jest tylko dziecko. Potwierdza to tajemniczy blask połączający po twarzach i szatach jak płomień...



El Greco — Boże Narodzenie



Fra Angelico — Zwiastowanie

rzy do XVII w. wydając ze swych pracowni dziesiątki Zwiastowań. Na rodzinę z Madonną z Dzieciatkiem, nie łącząc poszczególnych scen w całości tryptyków, jak uczynił to anonimowy norymberski. Każdy szukał najwłaściwszego wyrazu swojej własnej, we wnętrzu wizji tego zdarzenia i dla tego jest ich tak wiele i tak różne — jak wielu artystów pod wszystkimi równoleżnikami globu pragnęło raz jeszcze ożywić je na płótnach, w drzewie, w literaturze. Kościół strzegąc litery Kanonu patrzył pobłażliwie na dziwaczne często odkrycia artystów, pozostawiających w dziełach właściwe pamiętniki własnej duszy. Bo najważniejsze, aby zdarzenia oddalone o setki lat, tkwiące połowicznie w nurcie historii a rozgrywające się na dwóch płaszczyznach nieba i ziemi — ożyły raz jeszcze w wewnętrznym świecie artysty. Raz jeszcze dokonać się musi Zwiastowanie i Narodzenie.

Poprzez zczerniałe odrzwia tryptyku wchodzimy w obręb tego świata.

I. ZWIASTOWANIE (ZMIERZCH)

W dziełach malarzy zdarzenia rzeczywiste znajdują takie odbicie, jak niebo i drzewa odbijają się w tafli jeziora. I niebo i drzewa są właściwie te same, a przecież kształty ich załamują się na fałdach wody, tracą barwę: błękit nasycy się zielenią głębi, a zieleni staje się czarna. Błogosławiony Fra Angelico, który przed pracą twórczą zatapiał się w kontemplacji religijnej nie mógł wyobrazić sobie inaczej Marii i Anioła Gabriela zwiastującego Dobrą Nowinę — jak tylko na tle otwartej, renesansowej arkady, gdzie powiew przynosi z ogrodu zapach kwitnących kwiatów. Pięćdziesięcioletni artysta włożył w dzieło całe swoje bogactwo twórcze i duchowe, aby na ścianie klasztoru św. Marka we Florencji namalować ciszę letniego popołudnia, w którym drobna, delikatna dziewczeczka usłyszała z ust Anioła zapowiedź misji do wypełnienia, przerastającej może jej siły, nadludzkiej. I tylko w tej ciszy, złotej od promieni chylącego się ku zachodowi słońca mogły paść Jej słowa wyrażające gotowość podjęcia przeznaczenia. Jest to moment poprzedzający uniesienie radości, jakie wybuchnie hymnem „Magnificat”, jednym z najgłębszych w poezji świata.

„Uwielbia dusza moja Pana
I rozradował się duch mój w
Bogu Zbawicielu moim.
I weirzał na uniżenie służebnicy
Swojej“.

(Przekład psalmu Jana Kochanowskiego)

Marii w skromnym mieszkanku miejskim, jakie sam zapewne zajmował. I Maria jest już inna. Jej skupiona twarzyczka kupieckiej córki nie podobna jest słodkim twarzom wioskim. Powolaj pierwotna myśl qua ttoceuta została zagubiona. Chodziło przecież nie o pozy i dekoracje, ale o wyrażenie myśli oczekiwania i tęsknoty, jakie przewijały się wraz z imieniem Mesjasza przez strofy psalmów Salomona i natchnionego króla Dawida. Tęsknoty, która tak jak Odyseuszowi towarzyszyła w poszukiwaniu Itaki — tak nie opuszczała również Wergiliusza i natchnęła go tym dziwnym prorocstwem o Dziecięciu, od którego rozpocznie się nowa era. Gdyby Wergiliusz nie umarł tak wcześnie, sam mógłby być świadkiem tego faktu, przepowiedzianego w tak niejasny sposób. Chodziło o taką wizję Zwiastowania jaką dał błogosławiony Jakub de Voragine w swojej „Złotej legendzie” — nastroj radości kryje u niego również nieuchwytny, zimny powiew niepokoju — bo przecież wraz ze zmierzchem starożytności nadciąga tajemnicza, Nieznana Noc. Chodziło może najbardziej o myśl, którą poeta wyraził w swoim misterium „L'Annonce faite a Marie”, że Zwiastowanie dokonuje się w każdym z nas i wplata się w ludzkie życie.

Bo przecież żaden z artystów nie interesował się realnymi szczegółami, otoczeniem prawdziwym, w jakim miało miejsce Zwiastowanie. Nie trudno rozbić legendę o „pozdrowieniu anielskim” w kwietnych ogrodach, pod arkadami i w komnatkach. Nie przyponały ich prymitywne, ciasne izdebki Nazaretu. Mimo to do fresku z kościoła San Marco we Florencji wraca się najchętniej. Fra Angelico w swoim natchnionym pędzlu w istocie uchwycił sylwetkę Marii zastygłej w uległości i oczekiwaniu. Ma on niewątpliwie rację, mimo że między renesansowymi kolumnami widać u niego tokańską ziemię, do palestyńskiej nie podobną. Pokorny braciśzek odnalazł w samym sobie ton wspólny; podobny i dlatego jego Maria pochylając głowę w złotym świetle zachodzącego słońca ma naprawdę przed sobą Noc, która nadciąga, która się spełni.

II. NARODZENIE (NOC)

Nie wszyscy artyści całkowicie poznali jej głębię. Jedni powtarzali banalne, dekoracyjny motyw stajenki, inni zagubili się w najbardziej dziwacznych stylizacjach. Nieznany średniowieczny malarz burgundzki przedstawił Narodzenie za dnia, w

Ta koncepcja uwieczniona w ołtarzu św. Dominika w Toledo należy jednak do rzadkości w świecie sztuki. Zawiadnęła nią inna wizja, zajmująca setki pieńców, oblekająca się w szatę słowną u niezliczonych, średniowiecznych apokryfistów. Ta Noc rozkwita inicjałami i fioriturami zdobnych liter „Złotej legendy” Jakuba de Voragine, czy „Zwierciadła historycznego” Wincentego z Beauvais. Szczególnie błogosławiony

nad głową płonący znak krzyża. Chrystus Pan narodził się również dla kwiatów, które aby czcić Jego przyjście rozkwitły nie bacząc na niestosowną chwilę. W misterium narodzenia uczestniczyli również zwierzęta, ludzie, którzy zbiegli się ze wszystkich stron, a wreszcie aniołowie śpiewający na wysokościach.

Gdy czyta się błogosławionego autora mimowoli przypomina się

wół i osioł strzegą Dzieciątka, podczas gdy Maria pochyla się nad Nim z zachwytem. Aniołowie nie przestają wyrażać swej radości. Nie tylko tworzą w niebie wielkie tańeczne koło, ale również zbiegają na ziemię i całują się z pasterzami. Ogólna radość rozświetliła noc, która cofnęła się poza krąg jasności — poza stajenkę i las. Przypomina się również wcześniejszy obraz Fra Filippa Lippi przedstawiający małego Jezuska leżącego w gestym, czystym mchu i pochylającą się nad Nim Matkę. Z góry, sprowadzcy chmur wygląda Bóg Ojciec i Duch Święty.

We współczesnym nam życiu Chrystusa Giovanni Papiniego literacki obraz świętej Rodziny jest podobny. Usiłuje on wyjaśnić symboliczny sens tego otoczenia. Dlaczego pierwsze uczucie go zwierzęta, dlaczego narodził się w szopie... Ale ktokolwiek zetknął się z „Narodzinami” El Greca niewątpliwie będzie usiłował do obrazu tego powrócić. W tym wielkim świecie stajenek, żłobków, aniołów, idyllicznych pasterzy w kościołach Corydonów i Almyotów z XVIII klasycznego wieku — z pewnością wyróżnia się ta grupa ludzi nie pochodzących z kraju baśni lecz rzeczywistych, otaczających Boga Dziecinę. Ludzi, których nagle olśniła myśl, że spoglądają na zdarzenie jedyne w historii świata. Ich gwałtowne reakcje są znakiem wnikań w nich prawdy Bożego Narodzenia. Prawdy ukrytej w paradoksach ułożonych przez naszego dobrego, Ksawerego Karpińskiego w jego kalendarze śpiewanej przez nas, w każdym roku:

„Obnażon — okryty chwałą
Śmiertelny — Król na wiekami...”

III. MACIERZYŃSTWO (PORANEK)

Zwolna rozproszyły się mroki nocy, nadszedł świt. Rozpoczęła się nowa epoka w dziejach ludzkości. Wpamiętania rzezi Herodowej i po śpiącznej ucieczce do Egiptu cofnęły się jak złe sny. Matka Boska pozostała ze swoim Dzieckiem. Wydawałoby się, że na tym kończy się misterium Narodzenia. Pogodne światło poranka obwiewa niezliczone wizerunki Madonn z Dzieciatkiem, symboli Macierzyństwa. Jeszcze daleko do początku nowego misterium Śmierci i Zmartwychwstania. A jednak... to ostatnie skrzydło tryptyku Narodzenia Pańskiego nie jest uboższe w treść i myśl, stanowi ono swoisty zamknięty dramat. To wrażenie nasunie się nam po zobaczeniu galerii smutnych Madonn Belliniego, zadumanych Maryi flamandzkich.

Jeden ze współczesnych pisarzy francuskich napisał: „Matka na próżno szukała później w głębi mroku aniołów, którzy niegdyś w dniach po

(Dokończenie na str. 13)



Quentin Metsys — Lata dziecięce

biskup Genui, Jakub, daje piękną wizję Bożego Narodzenia. Zbawiciel przyszedł według niego na świat nie tylko dla ludzi — ale również dla „żywiółów nieżywionych” tj. dla wody i nieba. Objawiły to liczne cuda: noc rozjaśnił nieznaną blask, woda w wielu źródłach przemieniła się w olej święty. Magowie modlący się na gorze ujrzeli gwiazdę w kształcie dziecka, niosącego

mniej znany, lecz nie mniej wspaniały obraz Sandro Botticellego „Narodzenie”, z Narodowej Galerii Londyńskiej. Ta wizja poetycka narzuca na nas sieć nieodpartego uroku. Na obrazie Botticellego rzeczywistość cała przyroda uczestniczy w świecie Narodzenia. Stajenka stoi u niego w głębokim, puszystym lesie liściastym i aniołowie machają zgóry zielonymi gałęziami. Majestatyczny

Odpowiedź redakcji „Dziś i Jutro“ na list

W liście otwartym skierowanym do redakcji „Dziś i Jutro“ zamieszczonym w piśmie emigracyjnym, „Życie“ zwraca się Pani do nas:

„Człowiek stanowi jedność, nie da się rozdzielić. Zresztą cnoty kapłańskie są cnotami najwyższej kategorii, w nich mieszczą się wszystkie inne. Kapłan nie może być politykiem. Ma być przede wszystkim kapłanem, szukać Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a reszta będzie mu przydana. Kto jest kapłanem według myśli Chrystusowej, ten siłą rzeczy jest dobrym synem swego narodu, a działalność jego dla kraju błogosławioną. W artykule wspomnianym dajecie do zrozumienia, iż pierwszym obowiązkiem Hierarchii „liczenie się z racją stanu Polski Ludowej“. Bynajmniej! Obowiązkiem Hierarchii jest liczenie się z dobrem wszystkich dusz Jej powierzonych i z wolą Stolicy Apostolskiej, od której jest zależną. To stanowi zasadniczy obowiązek biskupów. Reszta będzie im przydana. Nie śmie katolik stawiać na jednej płaszczyźnie wymogów Kościoła i Polski Ludowej, bo Kościół jest wieczny, a Polska Ludowa mi nie, jak minęła Polska szlachecka, czy Polska dwudziestolecia. Nawet P o l s k a, bez przymiotnika klasowego, uwielającego rzeszopolitej; nawet ona, którą chcemy widzieć nieśmiertelną, nie może się równać z Kościołem.“

Wszelkie dalsze błędy Pani rozumowania i odczuwania wynikają ze zgubnego nadużycia wielkich prawd, które w przytoczonym tekście powtarza Pani za nauką Kościoła. Jest rzeczą normalną, gdy ze złej rzeczy czyni się zły użytek. Stanem głębokiej choroby jest posługiwanie się prawdą dla złych skutków. Ponieważ z całą racją przyznajemy Pani osobiście intencjonalną uczciwość moralną, przeto odnosimy zasadniczy zgubny błąd Pani wystąpienia do zakłamej atmosfery ideowo-politycznej burżuazyjnego świata.

Jakie prawdy zawiera przytoczony fragment listu? „Kapłan winien przede wszystkim szukać królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego“. „Obowiązkiem Hierarchii jest liczenie się z dobrem wszystkich dusz Jej powierzonych i z wolą Stolicy Apostolskiej“. A jaki jest zgubny użytek z tych prawd? Odrwanie katolicyzmu od ludzi, odrwanie katolicyzmu od narodu. Jest rzeczą niemożliwą, żeby Pani nie wiedziała, iż kapłani bywają dobrymi, lub złymi politykami, że Hierarchia i Kuria Rzymska szkodzi, lub pomaga swoimi poglądami na sprawy doczesne narodom, w których religia katolicka jest wyznawana. Książki Pani dowodzą, że nie tylko prawdy te zostały przez nią spostrzeżone, ale stanowiły przedmiot Pani historycznych rozważań. Dlaczego więc Pani daje się użyć do tak niegodnej sprawy, jaką jest odrwanie dobra katolicyzmu od dobra narodu polskiego, jaką jest przeciwstawianie obowiązków wynikających z przynależności do Kościoła obowiązkom narodowym obywatela Polski Ludowej.

Wyjaśnimy to prostym rozumowaniem, w którym ukazuje się fałsz świata, którego atmosferą Pani żyje i którego atmosfera Panią niszczy.

Burżuazja z chwilą zakończenia walki z feudalizmem przestała reprezentować interes narodowy. Dla utrzymania się przy władzy przeciwstawiała przez cały XIX wiek dobro społeczne dobru narodowemu. Kto był za postępem społecznym, kto walczył o awans proletariatu, był przedstawiany wszelkimi metodami propagandy burżuazyjnej jako wróg potęgi i siły własnego narodu. Historia położyła tej obłudzie nieubłagany kres. Kosmopolityzm międzynarodowej burżuazji okazał się jawnym. W podporządkowanie burżuazji interesom narodów nikt nie chciał wierzyć. Po drugiej wojnie światowej burżuazyjne rządy państw zachodnich rezygnują z niepodległości na rzecz imperializmu Stanów Zjednoczonych i zajmują się teoretycznymi wywodami o anachronizmie pojęcia suwerenności narodowej. Nie sposób jednak rządzić własnymi narodami w imię interesów amerykańskich i korzyści płynących z wysługiwaną się tym interesom. Dlatego jesteśmy świadkami niebywałego w rozmiarze nadużycia. Tak jak swego czasu burżuazja przeciwstawiała sprawę narodowej sprawę społeczną, tak obecnie wielka burżuazja przeciwstawia i sprawę narodowej i sprawę społecznej sprawę moralną. Stąd płynie niezrozumiała u laickich, indyferentnych, sceptycznych światowych monopolii „miłość“ do Kościoła katolickiego. Katolicyzm, nasza religia, ma dostarczyć w interesie wiekiej burżuazji uzasadnienia moralnego do sprzeciwu w stosun-

ku do postępu społecznego i dobra narodowego. Zrozumiałe jest, że burżuazja nie obchodzi konieczność oderwania się w takiej historycznej perspektywie katolicyzmu od mas. Niech się nie lęka dostojnicy Kościoła na Zachodzie pozorami szacunku i zewnętrznych ceremoniami, jakimi są otaczani przez możnych kapitalistów. Użyteczność Kościoła dla świata wielkiego kapitału trwa tak długo, jak długo Kościół zezwala nadużywać prawdy religijnej do walki z postępem społecznym i wyzwoleniem narodowym. Zezwolenie to jednakże przyczynia się do upadku autorytetu religii w masach, a z kolei ten upadek spowoduje bezużyteczność religii dla ochrony interesów wielkiej burżuazji. Wtedy nastąpi nagła degradacja Kościoła w świecie kapitalistycznym.

Odrwanie katolicyzmu od pracy, walki, nadziei prostych ludzi, odrwanie katolicyzmu od podstawowych potrzeb narodów jest uczestnictwem w bardzo złej sprawie. Dlatego bardzo nam smutno, że nie umiała Pani znaleźć prawdziwych przeciwników słusznej troski o perspektywę dla misji Kościoła.

Dalsza analiza tekstu Pani listu będzie dostarczać szeregu okazji do wykazania, jak dalece można głosząc z przejęciem piękne prawdy katolicyzmu lekceważyć i poniżać godność własnego narodu, szkodzić jego podstawowym interesom. W naszym głębokim przekonaniu niezależnie od uznania czystości Pani subiektywnych intencji, kierunku myślenia, który Pani reprezentuje szkodzi także sprawie Kościoła. Zapomina Pani, że Kościół katolicki w Polsce jest dla naderwania pozadoczesnego sensu pracy dla dobra narodu i postępu społecznego milionów wierzących Polaków, a nie może stanowić narzędzia realizacji wrogich Polsce i ludzkości zamiarów międzynarodowej burżuazji i odwetowców niemieckich.

Dawne koleżeństwo duchowe każe Pani przypomnieć nam, że zasadniczym celem naszej działalności doczesnej była służba Bogu i służba Polsce, że „Byliśmy jednomyślni co do tego, że samo odzyskanie niepodległości nie wystarczy, że trzeba społeczeństwo wychować od nowa, by się podobna katastrofa powtórzyć nie mogła i że to odrodzenie nastąpić może jedynie przez pogłębienie wiary, przez katolicyzm świadomy, konsekwentny, aktywny.“ I to jest prawda. Jest ona jednocześnie dowodem, jak bardzo tracą się rozeznanie intelektualne i jednocześnie poczucie odpowiedzialności politycznej i moralnej za naszą Ojczyznę w świecie emigracyjnym, w świecie w którym Pani żyje. Czym jest bowiem służba Polsce emigracji, która nie dostrzega ani rozwoju Polski, ani narastania nowych problemów naszego życia.

Polska nie stoi w miejscu. Jej problematyka z roku 1953 nie przypomina ani tej z roku 1945, ani tej z lat 1939 — 1944. Narod polski zaangażowany jest w wielkie dzieło budowania podstaw nowej materialnej przyszłości i tylko na gruncie naszego ludowego ustroju budowanie tych zrebów jest możliwe. Oczywiście jest przeciż, że świat kapitalizmu dąży do zrealizowania swych celów za pomocą środków uderzających w najbardziej kardynalne interesy narodu polskiego. Systematycznie rozbudzany szowinizm niemiecki jest głównym sprzymierzeńcem kapitalizmu w walce z osiągnięciami obozu socjalizmu, jak również widmo trzeciej wojny światowej, wojny ludobójczej.

Mamy najgłębsze przeświadczenie o tym, że Kościół po to, by rozwijała się Jego działalność nie musi wiązać się z ustrojem opartym o społeczną niesprawiedliwość, o kulturowanie nienawiści rasowych i ucisku narodowego.

Kościół katolicki w Polsce to miliony żywych ludzi, którzy chcą w swym życiu na ziemi być i Polakami i świadczą prawdziwie światopoglądu katolickiego.

Katolicyzm polski obudził się z przedwojennego, leniwego snu napotkawszy na swej drodze namiętną siłę światopoglądu materialistycznego. Jesteśmy uczestnikami tego spotkania.

Wiemy dobrze, że każdy spór o Boga jest twórczy, gdyż Chrystus stwarzając Kościół Swój przewidział życiodajny charakter tego sporu. U nas jednak nie tylko chodzi o spór o Boga, Chodzi także o to, że za parawanem problematyki religijnej toczy się również drugi spór, spór o postęp społeczny,

spór o lepsze życie milionów polskich chłopów i robotników.

Wsteczność chętnie posługuje się argumentacją religijną i dlatego granica między konfliktami religijnymi a społecznymi jest nieraz niedostrzegalna. Potrzebny jest wielki wysiłek naszych umysłów, potrzebna jest cała nasza wola, by stale rozplątywać zasupełniane nici naszej świadomości religijnej i społecznej. Gdyby i Pani uczestniczyła w tym naszym wysiłku, zrozumiałaby Pani jak możemy bronić interesów katolicyzmu, nie solidaryzując się z błędami politycznymi i społecznymi niektórych członków naszej Hierarchii.

Nie ma w Polsce zapewne katolika, któryby nie przeżył najboleśniej zarówno faktu, iż pasterz jednej z diecezji znalazł się na ławie oskarżonych pod zarzutem zdrady stanu, jak i tym bardziej wydarzeń, w rezultacie których Rząd powziął decyzję odsunięcia Prymasa od jego wysokich funkcji kościelnych. W liście swoim pisze Pani na ten temat:

„Tak stały rzeczy a raczej nie stały, lecz posuwały się nieubłagane w dół, gdy nadszedł proces biskupa Kaczmarka. Czekaliśmy z napięciem, jak nań zareagujecie. Dotychczasowy targ okazał się nieopłacalny. Jak w starym podaniu, szatan, posiadacz cyrografu, przestał zadawałniać się układami i sięgnął po duszę. Nic nie usprawiedliwiło dalszej czolobitości, bo chleb, który podacie, wyda się ludziom zatruty i zostanie odtrącony. Więc po co?“

Bezbożny sąd, oskarżający biskupów polskich o utajone przestępstwa, w rzeczywistości o to, że bali się Boga więcej, niż ludzi — nie zadziwił nikogo. Od czasu bluźnierczego trybunału wyrokującego w Wielkim Tygodniu w r. 33 naszej ery, każde pokolenie wiernych widziało podobną karykaturę sprawiedliwości, oskarżającą sprawiedliwych. I każde pokolenie wiernych — nasze też — patrzyło jak pozorna kłeska skazanych zmieniła się w nieśmiertelną chwałę. Poczynania władz marksistowskich budzą wstręt i grozę nie zdziwienie, lecz — jakież stanowisko zajmujecie wobec zbrodni dokonanej Wy, katolicy? Zabieracie głos, by przywrócić oskarżycielom? I nazywacie się nadal katolikami? Wasz tygodnik zachowuje podtytuł: katolicki tygodnik społeczny? Na jakiej podstawie? Jakim prawem? Artykuł Wasz „Doniosły zurot“ (Dziś i Jutro Nr 40) przeszedł o Waszym wyjściu z katolickiej społeczności. Kto Wam dał mandat, by sędzić biskupa? Prymas? Posłuszeństwo władzy duchownej należy do pierwszych obowiązków katolika, a Wy ośmielacie się sędzić?

Wszystkie herezje, bolesne rany Kościoła powstały z nieposłuszeństwa. Posłuszeństwo — cnota mężnych, jest warunkiem zasadniczym. Bez posłuszeństwa nie stanie się żadna rzecz prawdziwie wielką. Kto odrzuca posłuszeństwo Kościołowi przestaje być katolikiem. „Piszecie uprzednie — cenimy gorliwość kapłańską Prymasa w służbie Chrystusowej; ganimy obywatela“. Ależ to obłuda!

Zadziwia nas, że nie spostrzegła Pani, że jak wielką powagą wszyscy, poczuwający się do odpowiedzialności za Polskę pochylali się nad tymi bolesnymi sprawami; szukając właściwej drogi wśród tak trudnych problemów. Tak czynił rząd polski, tak czynili katolicy polscy. Wiemy również, że i wśród marksistów wydarzenia te przyjęte zostały z głęboką troską, gdyż dyktowało je poczucie odpowiedzialności za dobro całokształtu naszego kraju.

Zasadniczy więc błąd Pani rozumowania da się sprowadzić do wyłącznego zapatrzenia się w nadprzyrodzony charakter Kościoła katolickiego z jednoczesnym zapomnieniem o istnieniu w Nim elementu ludzkiego, zdolnego do czynienia dobra społecznego i do powodowania szkód społecznych. Czyż słuszną obroną świętości Kościoła jest chwalenie i podnoszenie do rangi świętości, to co jest niedostatkami, co przynosi szkody? Sądziemy, że należy postępować inaczej. W swojej przedmowie do „Sukni Dejaniry“ znajdzie Pani potwierdzenie słuszności naszego postępowania. Piszcie Pani:

„Prawdę należy mówić zawsze i w każdych okolicznościach. Prawda nie płowieje, prawda choć nie bywa nigdy modną, w żadnym wypadku nie staje się przestarzałą, prawda nie jęczy, nawet kiedy rani. Gorycz prawdy działa zbawczo.“

W poczuciu więc obowiązku służenia prawdzie mamy obowiązek rozważyć sumiennie postawę polityczną Ks. Prymasa, która narażała na zaprzepaszczenie w wielkim trudzie budowanych perspektyw rozwoju Kościoła katolickiego w przyszłym świecie socjalizmu. My w nie wierzymy i pod tym kątem widzenia patrzymy na rozwój stosunków między Hierarchią a Rządem w Polsce Ludowej. Podkreślamy więc w przeświadczeniu konieczności służenia prawdzie, że katolicy w Polsce nie mają obowiązku poddawać się kosmopolitycznym tendencjom, ale mają obowiązek służenia swemu narodowi. Jeśli walczą o Ziemię Zachodnie, chcą tego co im się słusznie należy. Jeśli budują gospodarstwo narodowe nie dla zysków międzynarodowego kapitału — to mieliby przestać być katolikami? Jeśli należą do obozu wyzwolenia narodowego i społecznego, jeśli pracując dla siebie pracują na rzecz umocnienia pozycji klas wyzyskiwanych na świecie na rzecz tych setek milionów, które budzą się w walkach przeciwko imperializmowi — to też mieliby przestać być katolikami?

Przeświadczenie o tym, że Kościół katolicki znajdzie dla siebie warunki pełnienia Jego nadprzyrodzonej misji w kraju budującym socjalizm — miałyby być powodem do wykluczenia ze społeczności katolickiej? Mimo, że walczyliśmy z fideizmem, z indywidualizmem — błędami świadomości religijnej odziedziczonej po okresie społecznego wstecznictwa?

Najbardziej pogmatwanym zagadnieniem w Pani rozumowaniu jest przekonanie, że czystość intencji, a nawet sama godność biskupa daje Hierarchii nieomyślność w rozumieniu, co w danej epoce historycznej służy dobru narodu, służy postępowi ludzkości. Prawdą jest natomiast, że właściwa ocena zjawisk społeczno-politycznych jest dla Hierarchii Kościoła zadaniem, które może ona rozważać prawdziwie, lub fałszywie. Nie na nieomyślności biskupów w sprawach doczesnych opiera się nasza wiara w Jeden. Święty, Apostolski Kościół Powszechny. Nie wytrzymałaby ona wówczas próby znajomości historii ani współczesności. Nie po raz pierwszy w historii chyłace się do upadku klasy posiadającej, klasy nastawione na wyzyskiwanie całej reszty ludzkości w dostępnym sobie sposób, chcą użyć autorytetu Stolicy Apostolskiej, zawładnąć tym autorytetem dla swoich celów. Przypominamy jednak, że posiadamy pełne prawo do tego, aby potrzeby Kościoła katolickiego w Polsce były respektowane w polityce doczesnej Kurii Rzymskiej.

Emigracja z Polski zajmuje się współdziałaniem z tą częścią Hierarchii niemieckiej, z tymi prałatami Kurii Rzymskiej, którzy z nadużyciem prawdy religijnej starają się przygotować usprawiedliwienie moralne do rzużenia maksymalnej ilości bomb atomowych na Polaków wierzących i na odbudowane kościoły polskie.

Zacytujemy Pani głos jednego z tych prałatów, który niedawno w jezuitskim organie „La civiltà Catholica“ napisał następujące bluźnierstwo: „Władca dziejów, Ciesła z Nazaretu, który od dwóch tysięcy lat robi trumny dla wszystkich swoich wrogów, przygotowuje jeszcze jedną, w której uspokoją się szaleńcze przechwałki homunculusów z Moskwy“.

A teraz pozwolimy sobie przypomnieć opowiadanie Pani pt. „Nad Odrą w r. 1015“, w którym myśli cesarza Henryka tak bardzo są podobne do gróźb katolickiego polityka dr Konrada Adenauera, któremu przeciwstawiamy się i będziemy się przeciwstawiać, bez względu na ilość jego obrońców ze sfer duchownych Hierarchii, czy Kurii Rzymskiej.

„Ach — jakże nienawidził Polan i młodych ich, jakże nienawidził całego szczepu słowiańskiego! Mierziła go beztroska pogoda prostaków, drażniło samo istnienie nieprzeliczonych, jasnowłosych rzesz, posiadających ziemię, których on pragnął. Ich nieposłuszeństwo, wewnętrzne rozterki, niezgodę, zamilowanie swobody, niechęć do znoszenia władzy, zwierzcchnictwa, przymusu, człowieka wolna wola, przeblyskujące u byle jakiego smardzy — wszystko to było wstrętne i obce. Nie pragnął obrócić ich w niewolników, ale wytepić, wydeptać, jak się zdeptuje robactwo, ścieżkę mrówek leśnych. Przygnać całą wagą pancera ze stali — ugiąć przemocą rozumu, przebiegłością lepszego oręża. Wyprzeć hen, na Wschód, poza rzekę,

otwarty Pani Zofii Kossak-Szczuckiej

Wisłę, poza rzekę Bug, aż ku bajecznej rzece Dnieprów. Posiąć się na ich dziedzictwach ku wiecznej chwale i korzyści germańskiej“.

Zastanawia nas jeszcze to, że przemilcza Pani starannie stanowisko zajęte przez Episkopat Polski w sprawie biskupa Kaczmarska i Ks. Prymasa. Zapoznając się z tekstem Deklaracji Biskupów Polskich z dnia 28 września oraz listem pasterskim, wydanym również przez nich na 1 listopada nie powinno chyba sprawiać trudności. My wiemy jednak, że każdy krok naszej Hierarchii, który nie odpowiada politycznym widokom emigracji nazywa się krokiem wymuszonym. Aż dziwne, jak łatwo można zlekceważyć poczucie odpowiedzialności Hierarchii, jak łatwo podeptać wartości moralne biskupów, o których tak pięknie pisze Pani w swoim liście. Czy nie prościej jest jednak uczciwie powiedzieć, że najwidoczniej trzeźwa ocena interesów narodowych i kościelnych wskazała obradującemu Episkopatowi, że droga, po której ostatnio kroczył Prymas, okazała się niesłuszną, i że trzeba z niej zawrócić.

Sądymy, że wyjaśniliśmy Pani dlaczego nazywamy się katolikami i dlaczego nasz tygodnik zachowuje podtytuł katolicki tygodnik społeczny.

Pisze Pani:

„Jak w starym podaniu szatan, posiadacz cyrografu, przestał zadawać się układami i sięgnął po duszę“ i „nic nie usprawiedliwiło dalszej człobitności, bo chleb, który podajecie, wyda się ludziom zatruty i zostanie odrzucony. Więc po co?“

Jakże smutne są nasze wnioski płynące z analizy tych zdań. Porównuje Pani komunizm do szatana. Jest to niesłychany dowód ciemnoty i zaślepienia, który opanował Wasze umysły.

Pretensja Pani do nas wyraża się w tym, że jesteśmy nie tylko taktycznymi zwolennikami (to by można jeszcze wybaczyć) tej wfelkiej, słusznej sprawy, ale, że jesteśmy jej współbojownikami. Tego już nam wybaczyć nie wolno. Nie jest Pani w stanie zrozumieć, że współpracujemy, że jesteśmy współbojownikami tej samej sprawy, o którą walczą dotychczas w pierwszym rzędzie ludzie o światopoglądzie ateistycznym. Współpraca więc nasza o słuszne nawet sprawy, idzie zdaniem Pani na rzecz aktywnego światowej rewolucji o materialistycznym światopoglądzie. Stąd działalność nasza prze staje zasługiwać na miano katolickiej działalności, gdyż zaprzecza obowiązkowi apostołatu.

Naszym zdaniem przez pojęcie apostołatu rozumiemy obowiązek świadczenia prawdy naszej wiary w życiu. W działaniu społecznym można mówić tylko o przyczynianiu się do tworzenia lepszych, czy gorszych warunków pełnienia nadprzyrodzonej misji Kościoła. Uważamy więc, że mamy obowiązek świadczenia prawdy wobec wszystkich, w pierwszym rzędzie chcemy jednak dawać jej świadectwo wobec tych wszystkich, którzy dotąd byli uciskani, wzgardzeni, wobec proletariatu — czy w znaczeniu społecznym, czy narodowym. Kwestia społeczna była w historii przez katolicyzm karygodnie niedoświadczana w praktycznej realizacji powszechnej, nie jednostkowej.

Wielka fala rewolucji zetknęła się po raz pierwszy z katolicyzmem jako zjawiskiem masowym w Polsce. Po raz pierwszy w dziejach naszego narodu nie przyjmujemy gotowych koncepcji, czy wzorów z życia Zachodu, po raz pierwszy tworzymy je tu, na naszej polskiej ziemi. Domaga się to od nas twórczości w wielkim stylu, zarówno intelektualnej, jak i zastosowania, sprawdzania w praktyce. Wiemy dobrze, że wola realizowania zasad sprawiedliwości społecznej w sferach światowej, wola wspólna ludzi wierzących i niewierzących nabrała historycznej skuteczności przez wkład ludzi o światopoglądzie materialistycznym. Znany teksty klasyków marksistowskich, znamy ich osiągnięcia praktyczne o dacie Wielkiego Październikowego Przełomu. Tę rewolucję społeczną uznajemy również za naszą, a nie tylko „ich“. Czy to oznacza, że automatycznie przejęliśmy materialistyczny światopogląd za swój? Całość naszych wypowiedzi i praktyka działania świadczą, że z katolickiego światopoglądu czerpiemy inspirację do służenia dobru człowieka w skali ludzkości.

Czyżby to naprawdę gorszyło, że z podstawowego nakazu miłości bliźniego chcemy

uczynić praktykę w skali społecznej, a nie pozostawać na pozycjach dobrowolności charytatywnych uczynków?

Obowiązuje nas, katolików, taka postawa, która budzi poszanowanie tych wszystkich, którzy na zasadzie obserwacji oceniają wartość nauki Kościoła. Za tę ocenę jesteśmy odpowiedzialni. Jesteśmy odpowiedzialni za to, aby wreszcie argument przeciwko tej nauce o jej nieskuteczności w mobilizowaniu ludzi do naprawy krzywdy społecznej w skali ludzkości okazał się niesłuszny.

Żeby się okazał niesłusznym zarzut o wiązaniu się ludzi wyznających światopogląd katolicki ze społecznym wstecznictwem.

Żeby się okazał niesłusznym zarzut, że religię katolicką wyzyskują z łatwością klasy posiadające dla utrzymania mas ludzkich w ciemności, zacofaniu cywilizacyjnym. Ktoś przecież jest odpowiedzialny za to, że połowa ludzkości globu ziemskiego nie umie czytać ani pisać.

Żeby się okazał niesłusznym argument o tym, że zapatrzenie w Boga pozwala katolikom być niewrażliwymi na obowiązki miłości bliźniego. Miłości nie uczuciowej, ale miłości — służbie potrzebom materialnym i duchowym każdego bliźniego na świecie.

Żeby się okazał niesłusznym argument, że przeświadczenie o tym, że człowiek posiada duszę nieśmiertelną i otrzyma od Boga zapłatę sprawiedliwą w życiu pozazobecnym, zastępuje pracę na rzecz realizowania zasad sprawiedliwości na ziemi.

Żeby się okazał niesłusznym argument o tym, że chcąc być dobrym katolikiem, trzeba rezygnować ze spełniania obowiązków wobec swego narodu.

Żeby się okazał niesłusznym argument o tym, że świadomość istnienia grzechu pierworodnego przytłacza aż do zapomnienia, że skutki jego mogą być umniejszane nie tylko w życiu wewnętrznym jednostki, ale i społecznym

Jeśli mówimy o dostarczeniu dowodów sprawdzalnych, podpadających pod obserwację, to nie jest już w naszych warunkach tylko teoretyczne założenie — „że warto by dawać takie dowody“, ale jest to praktyka każdego dnia.

W tym się wyraża nasz obowiązek dawania świadectwa Prawdzie. I stąd płynie nasz wewnętrzny spokój, że nasza droga jest słuszną drogą, choć trudną drogą. Nie sądźmy, aby łatwiejsza była droga społecznej praktyki katolików w świecie kapitalistycznym.

Istnieje postawa katolików, naszym zdaniem błędna, która zadawała się konsekwencją przywrotnego życia wobec norm moralności katolickiej, resztę — jak mówią — pozostawiając Bogu. W modlitwie szukają ratunku przed wyrzutami sumienia za ten minimalizm, który spowodował, że praktyka społeczna nie ma nic wspólnego z konsekwencjami światopoglądu. Ale z katechizmu wiemy, że po rachunku sumienia, po rozgrzeszeniu nawet — zobowiązany jest człowiek do zadośćuczynienia Bogu i bliźniemu. Czyżby doprawdy w płaszczyźnie historycznej odpowiedzialności wystarczyło za sumę wieloletniej krzywdy społecznej 3 „Zdrowaś Maryjo“? Z katechizmu wiemy o grzechu zaniedbania, choć mało nam o tym przypominano.

Jest naszym najgłębszym przeświadczeniem, że świadczymy Prawdzie naszej wiary wyrażając w działaniu troskę o formę życia społecznego bliższą zasadom sprawiedliwości. Stąd rodzi się nasza walka z wszelkimi próbami niszczenia dokonań naszego narodu, troski o przyszłość światopoglądu katolickiego w narodzie polskim nie odrywamy od troski o całość jego istnienia, od walki o jego byt. Nie chcemy powtarzać błędów przeszłości. W swoim czasie troska o katolicyzm „w ogóle“ oderwany od doceniania wszystkich potrzeb ludzi, pozwoliła na odejście klasy robotniczej od Kościoła.

Wśród katolików, wśród chrześcijan żyjących w krajach kapitalistycznych mamy wielu sojuszników; są ośrodki, które intelektualnie i w praktyce działania wyrażają społecznie postępowe tendencje. Jednostki i środowiska katolickie i chrześcijańskie, które w ogromnym stopniu przyczyniają się do rozszerzenia walki o pokój na całym świecie. Między tymi ludźmi katolików, emigrantów z Polski — zabrakło. Nie ma Was. Dlaczego? Stajecie się awangardą straszliwej, szaleńczej koncepcji „krucjaty“.

Do Boga chcielibyście nawracać ludzi niewierzących „intelektualnym“ argumentem atomowej, czy wodorowej siły zniszczenia. Przy tej okazji znieść z powierzchni własny naród, po to, by kto?... Jego prochy stały się katolickie? Wołacie: SS-mani do boju! W imię Boże! W imię Matki Najświętszej! Zniszczcie Polaków, lepsze to, niż gdyby między nimi mieli być ludzie niewierzący. Dajcie im — wy, ubodzy — zamiast finansów to, co macie najlepszego — wasze pióra.

Katolicy w Polsce mają swoją Hierarchię, która jest w obowiązującej jedności z Ojcem Świętym. Czyż dlatego, że ktoś z emigracji nie ma uczuciowego stosunku do innych biskupów, lub wyraża inne polityczne poglądy od tych, które zawiera Deklaracja Episkopatu z dnia 28 września b. r. — zdobywa już prawo do przypuszczeń, że następuje „koniec“ Kościoła katolickiego w Polsce?

Powiemy rzecz gorzką: Ludzie małej wiary! Odnajdźcie swój obowiązek narodowy, czynicie wysiłki, aby na terenie międzynarodowym nie utrudniać Episkopatowi jego działania w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zajmijcie się odpięciem oszczerstw, które padają w Waszych rozgłoszeniach radiowych, dlatego, że katolicy polscy wypowiadali się przeciw rewizjonizmowi kół zachodnio-niemieckich. Nie pozwalajcie, by traktowano go z tej przyczyny, jako ludzi należących do „minorum gentium.“ Zastanówcie się nad tym, w jaki sposób moglibyście przyczynić się w kwestii ustanowienia stałych diecezji na Ziemiach Zachodnich.

U nas nie ma lęku, że Kościół katolicki nie będzie miał możliwości działania w ustroju socjalistycznym. Nie zależy to bowiem od jakiegoś fatum, ale zależy od wkładu ludzi wyrażających światopogląd katolicki wobec społecznej rewolucji idącej przez świat cały.

Toteż, tak jak my nie mamy prawa kwestionować Pani subiektywnej postawy katolickiej dlatego, że opuściła Pani swą Ojczyznę i oddała Pani swe nazwisko przegranej i niesłusznej sprawie emigracyjnej, tak Pani nie ma również prawa kwestionować naszej postawy katolickiej dlatego tylko, że nie rozumie Pani naszego myślenia i działania.

Przyjmujemy jednocześnie uczciwą krytykę naszej postawy katolickiej, nawet o wrogów politycznych pod warunkiem że będzie ona oparta na pełnym zrozumieniu problematyki życia polskiego. Niestety ten warunek wydaje się nam nie do spełnienia, jeśli chodzi o Was.

My zaś ze swej strony staramy się ocenić wartość Waszego wkładu w budowanie zasad postępowania katolika w świecie współczesnym. Musimy Wam szczerze powiedzieć, że nie dostrzegamy osłabień. Ugrzęźnięcie w ciasnym getcie społecznej i politycznej reakcyjności nie umieliście nawet przeprowadzić twórczej krytyki przedwojennych błędów. Nie macie kontaktów z najbardziej twórczymi kierunkami myśli katolickiej na Zachodzie. Nie macie na nią wpływu, nie macie wśród nich żadnego autorytetu. Przekonałmy się o tym naocznie z okazji różnych podróży na Zachód.

Jaką sprawę reprezentujecie wobec świata, co niesiecie ludzkości? O zachowanie „od głodu, ognia i wojny“ od wieków proszą Boga ludzie. Wy staliście się dla całej ludzkości wysłannikami tego największego nieszczęścia: wojny, której nadzieja jest jedynym sensem waszej egzystencji. Czekacie na wojnę, nikłymi środkami, jakimi dysponujecie chcielibyście ułatwić jej wywołanie. Apostołowie ognia i wojny dla przeważającej części ludzkości staliście się również apostołami głodu, niewoli i krzywd. Nieuchronna logika wydarzeń sprawiła, że jesteście dziś pretorianami garstki możnych z t.zw. „wolnego świata“. Walczący o swą wolność Wietnamczycy wie, że wy jesteście przeciwko niemu, tak, jak jesteście przeciwko strajkującym robotnikom i demonstrującym bezrobotnym. Natomiast senator Mac Carthy, policjant hiszpański, generał SS i były banderowiec, wiedzą, że wy jesteście z nimi. Z pewnością wielu z Was z uporem chce się ludzi, że reprezentuje szlachetne cele. Nie jednak poradzić nie możecie na logicznie rozwijające się fakty. Olbrzymia walka setek milionów ludzi Azji, Afryki i Ameryki południowej o wyzwolenie narodowe, walka ludzi pracy wszystkich kontynentów o wyzwolenie społeczne toczy się i zwycięża przeciwko Waszemu opiekunom i przeciwnikom Wam. Złą sprawę reprezentujecie wobec ludzkości.

A co niesiecie własnej Ojczyźnie? — Do tej pory zadaliście jej wiele ciężkich krzywd. W przyszłości proponujecie jej wojnę i gorzej jeszcze, niż wojnę: zależność od Niemiec, mało różniących się od Niemiec Hitlera oraz uległość w stosunku do nacjonalistów ukraińskich. Zdradziecka to wobec narodu polskiego sprawa: Uległość wobec zaangażowania się części Hierarchii kościelnej na Zachodzie w atmosferę wojny, w atmosferę odwetu niemieckiego, Wasze emigracyjne uczestnictwo w tym zgubnym dla spraw Polski klimacie — zaprowadziło polskiego biskupa na ławę oskarżonych. I żadną miarą nie da się przedstawić jego procesu, jako wynikającego z przyczyn religijnych.

Dlatego z głębokim bólem odczytaliśmy w liście Pani:

„Od czasu bluźnierczego trybunału, wyrokującego w Wielkim Tygodniu, w roku 33 naszej ery, każde pokolenie wiernych widziało podobną karykaturę sprawiedliwości, oskarżającą sprawiedliwość. I każde pokolenie wiernych — nasze też — patrzyło, jak pozorna kłeska skazanych zmieniła się w nieśmiertelną chwałę“.

Porównała bowiem Pani pustym frazesem sąd nad biskupem, który tragicznie rozszedł się z dobrem narodu, do Piłatowego sądu nad Chrystusem.

Trzeba jeszcze na parę dość nieprzyjemnie zaskakujących zwrotów, które znalazły się w Jej liście.

Pisze Pani:

„Czując się związaną z Wami, śledziłam uważnie wszystkie Wasze wypowiedzi, usiłując odróżnić w nich to, co chcielibyście powiedzieć, od tego coście napisać musieli. Droga obrona przez Was, zdawała mi się karkołomną, mogącą zaprowadzić w matnię, poczytywałam Was jednak za ochotników, harujących świadomie na przedpolu oficjalnej nauki Kościoła. Harcownik odpowiada sam za siebie, z jego szaleńczej akcji może zaś wyniknąć nie jedno dobro. Myślałam: narażają tylko swoje dobre imię — to wolno. Za cenę nieistotnych ustępstw mogą prowadzić piękną akcję wydawniczą. Ludziom głodnym słów Bżych dają do ręki książki — chleb. Ten targ jest korzystny dla sprawy. A skoro Prymas ich nie potępia, można ufać dalej. Ufałam“.

Z przykrością myślimy o targach i transakcjach w polityce emigracyjnej, które zapewne skłoniły Panią do zastosowania tego fachowego języka. Ale czy zastanowiła się Pani, co się za tymi sugestiami kryje? Kryje się za nimi próba rozgrzeszenia ideologicznego zaprzaństwa. Zdaniem Pani nasze poglądy, głoszone publicznie są wypadkową poglądów prawdziwych, ukrytych i owych „nieistniejących ustępstw“.

Niestety musimy Panią rozczarować. W naszych poglądach nie ma „nieistotnych ustępstw“, na odcinku ideowym nie ma „korzystnych targów“. Jest najgłębsze przeświadczenie, że socjalizm prowadzi ludzkość w przyszłość, i że katolik winien właśnie w ten zwrot ku przyszłości wnieść światło swojej wiary. Z błędami, które wokół dostrzega walczyć winien uczciwie, przeświadczony, że jego światopogląd ma pomagać w dostrzeżeniu prawdy, ale nie zapominając o tym również, ileśmy sami, my katolicy, popełnili i popełniamy błędów w życiu społecznym. Te zasady i troska o dobro wspólnej sprawy ojczyzny i społecznej dyktuje nasze postępowanie wobec wyrażycieli marksistowskiego, światopoglądu, od których można się uczyć bezkompromisowego stawiania spraw ideologicznych przy jednoczesnym szukaniu płaszczyzn współdziałania z katolikami na gruncie wspólnych spraw narodowych. Obustronny szacunek możliwy jest tylko wówczas, gdy istnieje pewność, że nie ma żadnych, nawet „nieistotnych ustępstw“ w zakresie publicznie głoszonych poglądów.

Dlatego kończąc naszą odpowiedź trudno nam powstrzymać się, by korzystając z tej okazji dialogu nie wyrazić przekonania, że jednak najlepszy i najuczciwszy spośród Was, emigrantów, zdobędą się na wysiłek rewizji dotychczasowej drogi i na odważne uznanie jej za drogę złą, wiodącą nieuchronnie przeciwko własnej Ojczyźnie.

Spójrzcie, co się dzieje wokół Was na szerokim świecie!

Sprawy, o które od początku walczy Polska Ludowa stały się dziś bliskie wielu innym narodom, popiera ich wielu mężów stanu, którzy nie tak dawno zaciekle z nami walczyli. Posłuchajcie, co mówią Indie, co

(Dokończenie na str. 6).

ks. Mieczysław SUWAŁA

Obrońcy Pokoju w Wiedniu

Wiedeń nie zachwylił mnie. Wrzeszczące światło neonowych reklam, bogate wystawy; w restauracjach i kawiarniach — kelnerzy we frakach w pas zgięci w wyciągniętych rękami po pourboire... Atmosfera w jakiej żyje w tej chwili Wiedeń, jest okropnie męcząca.

W ostatnią niedzielę listopada, przed moim wyjazdem z Wiednia, po odprawieniu mszy św. zwiadałem w przedpołudniowych godzinach wie deńskie kościoły. Modliłem się w Wotivkirche, podziwiałem wspaniałą katedrę św. Stefana, nigdy nie zapomnę jej przepięknej w swojej architekturze wieży. Z pełnym podziwem patrzyłem na architekturę kościołów, ale równocześnie obserwowałem frekwencję wiedeńskich na mszach św. Muszę powiedzieć prawdę: jak na Wiedeń, katolickie miasto, które przez tyle wieków było ramieniem Rzymu — frekwencja była stanowczo za mała. Kiedy stałem podczas sumy w katedrze św. Stefana wśród małej grupy słuchających mszy św, mimowolnie przed moimi oczyma wyrosły kościoły Warszawy przepelnione modlącą się ludnością.

Wieczorem tejże niedzieli rozmawiałem ze znanymi osobistościami z austriackiego świata politycznego i katolickiego. Nie ukrywali oni faktu, że katolicyzm austriacki przeżywa w tej chwili okres fideizmu. Katolicy austriaccy prawie się nie interesują współczesnymi rozwiązaniami zagadnień społecznych i kierunkami intelektualnymi. Atmosfera kapitalizmu nakazuje austriackim wykształconym i bogatym sferom katolickim, przemysłowcom, myśleć raczej o własnych interesach i zarobkach. Bezrobocie i bieda austriackich miasteczek i wiosek nie przekładają tym ludziom zbyt dostojnie i wygodnie.

A teraz powróćmy do obrad Światowej Rady Pokoju. Dnia 22 listopada br. wysiadłem z auta razem z polską delegacją przed jednym z gmachów Schoenbrunnu. Za parę minut miałem się zetknąć ze sławnymi ludźmi, których nazwiska powtarza cały świat, a których ważne wydarzenia na terenie polityki międzynarodowej przywołały do Wiednia. Z zaproszeniem w ręku przekroczyłem progi gmachu obrad. W westybulu panował ożywiony ruch. Dolatują do moich uszu słowa angielskie, francuskie, melodyjna mowa rosyjska, jakieś niezrozumiałe wyrażenia Chińczyków. Spoglądam na twarze. Żywa kolorowa moca. Ukłony, uśmiechy, uściski dłoni, krótkie zapytania i odpowiedzi. Jestem trochę zdenerwowany, ale mój towarzyszy, Dominik Horodyński, który brał udział w poprzednich Sesjach Rady Pokoju, czuje się doskonale. Zdążył się już przywitać z Jorge Amado, porozumieć się z Eugenie Cotton i Isabelle Blum, oddać ukłon Jean Laffitte, a mnie przedstawić kilku osobistościom. W towarzystwie Ostapa Dhuskiego, Jarosława Iwaszkiewicza i Leona Kruczkowskiego wkroczyłem na salę obrad. Przy jednym ze stołów czekał już na nas Andrzej Panufnik i prof. Infeld. Rozglądam się po sali. Działka dr Johnson rozmawia z metropolitą Moskwy, Mikołajem. Ostap Dhuski lekko dotyka mojego ramienia i pokazuje mi wzrokiem Okuo Ojama, Mao Duna, Ilię Erenburga, Wandę Wasilewską, Oparina i Pietro Nenni. Mieszają mi się wszystkie nazwiska, grzmot oklasków wyrwa mnie z oświeślenia. Na trybunie wszedł prof. Joliot-Curie. Obrady Światowej Rady Pokoju zostały otwarte. Prof. Joliot-Curie w serdecznych słowach wita delegatów a następnie powołuje prezydium. Padają nazwiska. Sala rozbrzmiewa oklaskami. Siadam na swoim miejscu, nakładam na uszy słuchawki i przesuwam strzałkę guzika kontaktowego na wybrany język. Prof. Joliot-Curie rozpoczął swe inauguracyjne przemówienie.

„Zebrałiśmy się znowu, by omówić rozwój walki o pokój we wszystkich krajach i by po zbadaniu obecnej sytuacji wyznaczyć środki, które uczynią naszą walkę jeszcze skuteczniejszą i jeszcze bardziej jednomyślną“.

Mówca dokładnie analizuje sytuację międzynarodową i wyznacza zakres problemów, wokół których mają się skupić prace delegatów.

Należy podjąć współpracę, aby zmniejszyć napięcie stosunków międzynarodowych. Siłom pokoju nie wolno walczyć w rozsypane, ponieważ mamy do czynienia z silnym przeciwnikiem, który stosuje udoskonalone środki zbrojeniowe. Amerykańska strategia psychologiczna, posługująca się kłamstwem i precyzyjnie obmyślonymi politycznymi manewrami celem podtrzymania napięcia i niepokoju. Narodzi domagają się ro-

kowań, w których widzą jedyny środek złagodzenia a potem zlikwidowania napięcia politycznego, wstrzymania wyścigu zbrojeniowego i uregulowania sporu. Koła imperialistyczne chciałyby rokowań, ale na takich warunkach, które zapewniłyby zerwanie rokowań w najbardziej dogodnym dla nich momencie. Cała polityka agresywna posługuje się nieuczciwymi chwytami, aby wprowadzić w błąd polityczną opinię świata. Tworzy się plan obrony pokoju, stawia się propozycje pokojowych rozwiązań problemów politycznych, a w rzeczywistości stwarza się poważne zagrożenie bezpieczeństwa narodów.

Pozwólmij teraz mówić faktem. W centrum Europy powstała znowu groźba militarystyki niemieckiej. Polityka zachodnia wciąż ogłasza coraz to nowe zapewnienia na temat obrony charakteru koalicji, do udziału w niej wciąga się militarystów niemieckich. Rząd amerykański popiera i inspirował politykę Niemiec bońskich, które zdążyły już sformułować nowe roszczenia terytorialne, nie mogące być zaspokojone bez wojny.

Wydarzenia w Azji przykuwają uwagę całego świata. Siły pokoju doprowadziły do położenia kresu działaniom wojennym w Korei. Sprawa koreańska nie jest jednak załatwiona ostatecznie. Układy Waszyngtonu z Li-Syn-Manem stwarzają poważne trudności w rozwiązaniu problemu koreańskiego.

W Vietnamie leje się krew. Rząd francuski wbrew interesom swego na rodu popiera wojnę, którą spowodował system kolonizatorski.

Jest jeszcze inny niezwykle doniosły problem, który obchodzi całą ludzkość. Chodzi tu o zakaz broni masowej zagłady. Ten właśnie problem wywołuje najwięcej sporów i był przedmiotem wielu rokowań, które nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Obóz pokoju nie może przyjąć w tej materii ani projektu ONZ, ani rezolucji byłego francuskiego ministra Mocha, który oparł się o plan Barucha. Plan ten domaga się zgłoszenia danych o wszystkich siłach zbrojnych i o wszystkich przedsiębiorstwach energii atomowej, zaim wydanym zostanie zakaz tej broni. Przeprowadzmy inwentaryzację, zorganizujemy kontrolę, a potem — pomysłimy. Takie podejście do tego problemu w tak napiętej sytuacji jest niemożliwe do przyjęcia.

Oto konkretne problemy, które prof. Joliot-Curie przedstawił zgromadzonemu na sesji oświadczenie jednocześnie, że siły polityczne, które obawiają się zmniejszenia napięcia stosunków międzynarodowych, chwytają się obecnie najrozmaitszych metod, aby nie dopuścić do rozwiązania wyżej wymienionych problemów na drodze pokojowej. Siły zaś pokoju podejmują wszelkie środki, aby mimo przeszkód zapewnić ludzkości pokój.

Zasadniczym środkiem, który by mógł doprowadzić do pokojowych rozstrzygnięć może być konferencja pięciu mocarstw, na których ciąży największa odpowiedzialność za utrzymanie i utrwalenie pokoju. Siły pokoju żywią najgłębsze przekonanie, że konferencja pięciu mocarstw ma wszelkie środki, aby doprowadzić do złagodzenia napięcia międzynarodowych.

Prof. Joliot-Curie zakończył swą inauguracyjną mowę, na trybunie

Światowej Rady Pokoju pojawił się nowi mówcy. Padły słowa nabrzmiały troską o człowieka, o całą ludzkość z jej cywilizacją. Nie było w nich nienawiści, ale potężna wola zorganizowania świata na zasadach pokojowych, niosących bezpieczeństwo ludziom pracy, twórcom kultury, dzieciom, niewiastom i starcom.

Z trybuny Światowej Rady Pokoju przemawiali przedstawiciele walczącego Vietnamu i bohaterkiej Korei, wysłannicy Chin Ludowych i czarnej Afryki. Delegacji Niemiec zachodnich i wschodnich domagały się uregulowania spraw ich narodu. Francuzi i Anglicy naświetlali położenie polityczno-gospodarcze swoich państw. Ilija Erenburg precyzyjnie zbudowanym argumentami odpowiadał zachodnim mocarstwom na ich szantaże polityczne. Jarosław Iwaszkiewicz w imieniu narodu polskiego sformułował stanowisko polityki polskiej w sprawie zagadnienia niemieckiego. Powiedział on między innymi: „Naród polski uważa, że nie ma innych sposobów zapewnienia powszechnego pokoju na świecie, nie można inaczej przeciwstawić się wojnie, jak tylko przez urzeczywistnienie zjednoczenia Niemiec, zjednoczenia w duchu Poczdamu, na zasadach pokojowych i demokratycznych, tak jak to przedstawiał wielokrotnie Związek Radziecki w swoich powszechnie znanych notach“. Metropolitą Moskwy Mikołaj i pastor Niemcewicz w swoich orędziach zwrócili się do całego świata chrześcijańskiego z wezwaniem, aby narody chrześcijańskie nie dopuściły do nowej wojny. Delegat Austrii prof. Dohrbetsberger, myślący kategoriami katolickiego ruchu społecznie postępowego, wezwał obrońców pokoju w imię najwyższych ideałów ludzkości, aby wzmożli swój wysiłek celem rozwiązania wszystkich problemów międzynarodowych na drodze polityki pokoju.

Ten, kto dokładnie śledzi sprawozdanie obrazujące położenie polityczne poszczególnych narodów, musiał zauważyć, że wzrastają tendencje pokojowe poszczególnych narodów a obrońcy pokoju z dnia na dzień powiększają i umacniają swoje szeregi. Przyjdzie dzień, w którym siły obozu pokoju wyeliminują z życia narodów politykę kłamstwa, nienawiści i zimnej wojny.

W klimacie serdeczności i troski o szczęśliwe życie współczesnych narodów i wśród nowych posunięć politycznych rozwijały się obrady i formowała się praca trzech komisji Światowej Rady Pokoju: politycznej, organizacyjnej i kulturalnej. Komisje podsumowały wyniki obrad i opracowały projekty rezolucji, które plenum Światowej Rady Pokoju przyjęło w ostatnim dniu obrad.

Rezolucja Komisji Politycznej stwierdza, że apel o podjęcie rokowań rzucony w Budapeszcie przez Światową Radę Pokoju zyskał głęboką odzew i poparcie szerokiego warstw ludzkości. Myśl uregulowania sporów międzynarodowych na drodze układów zdobywa z każdym dniem coraz większą popularność. Zawieszenie działań wojennych w Korei jest wielkim osiągnięciem obozu pokoju. Projekt zawieszenia działań wojennych w Indochinach trafia na przychylny grunt zarówno we

Francji, jak i w Vietnamie. Światowa Rada Pokoju z radością powitała propozycję złożoną przez delegację Vietnamu a popartą przez Chiny Ludowe i przychylnie potraktowaną przez delegację francuską — dotyczącą bezpośrednich układów między walczącymi stronami dla zlikwidowania wojny.

Rezolucja jednak podkreśla, że istnieją siły przeciwnie odpreżeniu międzynarodowemu. Zarówno w Azji, jak i w Europie pewne konflikty w szczególności sposobu zagrażają pokojowi świata. Problemy azjatyckie nie mogą być rozstrzygnięte bez udziału państw neutralnych — zwłaszcza Indii — w konferencji politycznej.

Sprawa bezpieczeństwa Europy wymaga szybkiego uregulowania problemu niemieckiego. Załatwienie tej sprawy możliwe jest tylko na drodze porozumienia czterech mocarstw: USA, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji. Takie porozumienie zapewniłoby perspektywy pokojowej egzystencji dla narodu niemieckiego, a dla narodów całej Europy stanowiłoby gwarancję przeciwko odradzeniu się niemieckich sił agresji. Jasną jest rzeczą, że ratyfikacja traktatu dotyczącego armii europejskiej w żaden sposób nie posunie naprzód sprawy Niemiec.

Rezolucja polityczna stwierdza, że urządzanie baz wojskowych na obecnej ziemi zagraża niepodległości narodów i pokojowi. W tej chwili taką politykę uprawia się na bliskim i środkowym Wschodzie, w Ameryce łacińskiej i Afryce. Zbroi się Japonia i Pakistan. W Europie zaś formuje się europejska wspólnota obrony, a w Hiszpanii zakłada się bazy atomowe. Te fakty, jak również wyścig zbrojeń, produkcja broni masowego zniszczenia, potęga psychozę wojen na w umysłach setek milionów ludzi.

Światowa Rada Pokoju ubolewa nad tym, że ONZ nie doszła jeszcze do żadnego porozumienia w sprawie zakazu broni atomowej i biologicznej oraz poważnego zmniejszenia zbrojeń i to pod istotną kontrolą.

Napięcie międzynarodowe i zimna wojna niepokoją cały świat. Ludzie pracy domagają się ostatecznych wyjaśnień politycznych. Światowa Rada Pokoju mając powyższe fakty na uwadze podaje środki, które by ostatecznie uregulowały życie między narodowe. Konferencja pięciu, przyznanie Chińskiej Republice Ludowej należnego jej miejsca w instancjach międzynarodowych mających regulować sprawy świata, i uznanie Karty Narodów Zjednoczonych są dostatecznymi czynnikami, które przyczyniłyby się do zmniejszenia napięcia w polityce międzynarodowej. W szczególności Karta Narodów Zjednoczonych jest ważnym elementem tej polityki międzynarodowej. Przestrzeganie jej ducha dopomagałoby narodom w zabezpieczeniu ich bezpieczeństwa, niezawisłości i pokojowej współpracy nad rozwojem ekonomicznym, zwiększeniem dobrobytu i kultury.

Rezolucja komisji kulturalnej wezwała świat nauki, aby nie dopuścił on do użycia energii atomowej, do zniszczenia cywilizacji. Rezolucja zaś komisji organizacyjnej zaproponowała na przyszły rok spotkanie wybitnych osobistości różnych poglądów celem znalezienia i przeprowadzenia środków pokojowego uregulowania spraw międzynarodowych.

Po przyjęciu rezolucji plenum i po dokonaniu ostatnich formalności, Pietro Nenni, zamknął obrady Światowej Rady Pokoju. Delegaci odjechali do swoich państw. Wzrosła ich świadomość polityczna co do roli i powołania, jakie ma spełnić obóz pokoju w obecnym układzie sił politycznych. Jesteśmy przekonani, że po sesji wiedeńskiej zmocni się siły pokoju, które w najbliższym czasie zmuszą do milczenia wrzawę imperialistycznych polityków.

Aby oddać dokładnie wagę tego historycznego wydarzenia, jakim były obrady Światowej Rady Pokoju, nie można pominąć ważnych wydarzeń politycznych, które zaszły w czasie obrad wiedeńskich. Podczas debaty na Francuskim Zgromadzeniu Narodowym siły narodowe i postępowe nie dopuściły do ratyfikacji układu o armii europejskiej. Trzeba przyznać, że jest to ogromne osiągnięcie pokojowej myśli politycznej na terenie Francji. Francuscy patrioci zdecydowanie dają do wyrwania Francji spod wpływu i zależności imperialistycznej polityki USA. Polityczne koła postępowe całego świata z ufnością patrzą na posunięcia Francji i są przekonane, że naród francuski, który stworzył tak wysoką kulturę humanistyczną, nie pozwoli kierować się przemocą i narzucać obojętne go stylu polityki dyktatorów businessu USA. Prof. Joliot-Curie w swoim inauguracyjnym przemówieniu powiedział, że narody wielce oczekują od Francji. Zwycięstwo myśli politycznej Francji nad polityką przemocy militarnej USA będzie zwycięstwem kulturalnej Europy.

W tym samym czasie Związek Radziecki wystosował notę do mocarstw zachodnich wzywającą do konferencji w Berlinie celem likwidacji napięcia międzynarodowego. Na Bernu dach zaś została zwołana konferencja USA, W. Brytanii i Francji. Prasa zachodnia donosiła, że konferencja będzie obradowała nad ważnymi sprawami światowymi. W tym miejscu należy podkreślić, że żadne sprawy o wadze międzynarodowej nie mogą być załatwione bez udziału Związku Radzieckiego.

W ostatniej chwili zostało podane do wiadomości, że zebrani na Bermudach zgodzili się na konferencję czterech w Berlinie. Nie pomylę się, jeżeli powiem, że ten fakt należy zaliczyć na rachunek zwycięstwa obozu pokoju.

Pisząc o przebiegu obrad Światowej Rady Pokoju i o Wiedniu — nie mogę pominąć moich spotkań i rozmów z katolikami i protestantami Austrii, Niemiec zachodnich i wschodnich. Rozmowy z nimi przyniosły mi pewien niepokój. W swoim przemówieniu mówiłem o położeniu Kościoła w Polsce ustawiając we właściwym świetle ostatnie wydarzenia, jakie zaszły w kraju. Red. Dominik Horodyński szczegółowo omówił koncepcję i osiągnięcia postępowego ruchu katolików i ich stosunek do Stolicy Apostolskiej. Nasz przyjaciel Allard z Belgii zapoznał zebranych z działalnością i dążeniami postępowych ruchów społecznych katolików na zachodzie Europy. Zasadnicza dyskusja potoczyła się w kierunku zagadnienia wojny. Niektórzy Austriacy wprost opowiadali się za wojną. Dyskusja w pewnym momencie zastrzyła się. Dominik Horodyński i Allard bronili pozycji obrońców pokoju. Ks. Horak z Czechosłowacji argumentami teologicznymi krok za krokiem rozbił prowokacyjne poglądy. Dr Ferber z Niemiec zachodnich oświadczył wprost, iż przeraża go myśl, że Kościół, Mistyczne Ciało Chrystusa, mógłby być znów rozdarty nienawiścią, prowadzącą Jego członków do wzajemnego mordowania się.

Wysoko ponad Wiedniem wieża katedry św. Stefana wznosi krzyż, symbol miłości. Jestem przekonany, że niektórzy katolicy wiedeńscy w sposób uproszczony i płytki w obecnym okresie historii traktują odwieczne prawdy swojej religii. Pragnę zwrócić wszystkim uwagę, że w podobnej atmosferze żyją katolicy w niejednym mieście na zachodzie Europy.

W tej chwili przed katolikami stoją do spełnienia poważne zadania z racji wyznawanych prawd Bożych. Działania z całą siłą podkreślić, że miejsce katolików w obecnej sytuacji międzynarodowej znajduje się w szeregu ludzi broniących pokoju, walczących o Bożą sprawę, bo o pokój dla ludzi na ziemi.

Odpowiedź redakcji „Dziś i Jutro“ na list otwarty Pani Zofii Kossak-Szczuckiej

(Dokończenie ze str. 5)

mówią najlepsi synowie Francji i wreszcie, co mówi wielu wybitnych polityków angielskich. W szeregach ludzi walczących o odpreżenie międzynarodowe i sprzeciwiających się ponownemu uzbrojeniu Niemiec, znaleźli się i tacy, którzy parę lat temu przykładali rękę do zastrzymania zimnej wojny, którzy pomagali stawiać pierwsze kroki Adenauerowi. Czy myślicie, że łatwo im przyszło powiedzieć: myliliśmy się, chcemy teraz odrobić nasze błędy.

Co do nas, z największym przekonaniem mówimy Wam: rozwój wydarzeń nieuchronnie zmusi Was do zdezawowania całego dotychczasowego kierunku Waszych poczynań. Jeśli sami nie uczynicie tego teraz, będziecie musieli uczynić to za lat pięć, dziesięć, czy piętnaście. Rzecz jasna, czym ta rewizja nastąpi później, czym brutalnie wymusza ją wypadki, tym będzie trudniejsza i bolesniejsza, tym mniej w niej będzie godności.

Szanowna Pani, — daleko rozeszły się nasze drogi. Na pewno jednak lepiej od innych

emigrantów odczuwa Pani całą dramatyczność sytuacji, w jakiej znalazła się emigracja, jak również i to, że Wasze losy i czynnie nie mogą być nam przeciwieństwem obojętne. Mamy więc nadzieję, że zrozumie Pani, że nie chcę wykorzystywania naszej lepszej sytuacji podyktowała nam szczerą ton tego listu. Tym bardziej, że głos Pani zawiera nutę szczerą przyjaźni. Jesteśmy za nią tym bardziej wdzięczni, że widzimy, że przewycięża ona tak strasznie głęboko tkwiące nieporozumienia. Twarde i znojne życie lat wojennych i wielkie doświadczenia lat powojennych wychowały nas w poszanowaniu prawdziwej przyjaźni. Bardziej jednak nad uczucie przyjaźni nauczyliśmy się cenić ideę wagi bezkompromisowości. Zbyt wiele razy naród polski był sprowadzany na manowce przez ludzi, którzy nie uczyli się myśleć, lub nie mieli odwagi mówić mu prawdy w oczy. Poczujemy się do tego obowiązku i wobec tych, których Pani swym stanowiskiem reprezentuje.

Redakcja „Dziś i Jutro“

Józef GRABOWSKI

SŁOWACKIE JASEŁKA



PELNA wszechstronnego uroku tajemnica Bożego Narodzenia, owej świętej nocy, gdy wśród głębokiej ciszy rodził się cud, objawony tylko maluczkim, stała się źródłem natchnienia artystycznego dla malarzy chrześcijańskich wszystkich epok naszej ery.

Jak oni najczęściej pojmowali i przedstawiali scenę w stajence betlejemskiej, mówi następujący cytat, zaczerpnięty przez Michała Walickiego — autora pięknej książeczki o polskich, gotyckich jeszcze przedstawieniach Bożego Narodzenia — z książki o życiu Chrystusa, napisanej przez jednego z prozelitów katolickich niedawnych czasów.

„Stajnia, prawdziwa stajnia, nie jest to wesoły portyk jaki malarze chrześcijańscy zwykli budować Synowi Dawidowemu jak gdyby zawstydzeni, że ich Bóg leżał w nędzy i brudzie. I nie jest to owa stajenka gipsowa, jaką wyobraźnia plastyków stworzyła w nowszych czasach: stajenka schludna i wykwiśnięta, miła w kolorze ze złotkami wybornie urządzonej i pełnym wdzięku, z osiołkiem wniebowziętym po jednej i wołem namaszczonego po drugiej stronie, z aniołami na dachu przybranymi w wieńce, z figurami królów w płaszczach i pasterzy w kapturach, klęczących u progu. To może być snem rozmarzonych oczu kleryka, luksusem proboszcza, zabawką dziecka, „wyprorokowaną gospodą” Aleksandra Manzoniego ale nie jest naprawdę stajnią, w której narodził się Jezus”.

I ta stajenka, o której pisać będę w tym artykule, również nie jest stajenką, w jakiej narodził się Chrystus. Jest jednak stajenką, w której mógłby się narodzić, gdyby nastąpić to miało nie w dalekiej Palestynie, ale u naszych sąsiadów Słowaków. Obrazu tej szopki nie namalowali bowiem artyści uczeni w duchu, płacących za ich sztukę, możnych tego świata, wstydzających się nędzy tego Boga, który nie znał nigdy na ziemi dobrobytu, będącego ich stałym udziałem — ale tacy sami pastuszkowie, których budził anioł na pagórkach betlejemskich, gdzie „trząd swych strzepli”. Tylko że Słowacy.

Nie dlatego jednak Chrystus mógłby się narodzić w stajence, o której będzie mowa, że namalowali ją Słowacy prostaczkowo, lecz że namalowali ją z głębi serca, wkładając w nią pełnię obrazu życia swego, nie odbiegającego na jotę od otaczającej ich rzeczywistości, do

której wprowadzili Narodziny Chrystusa nie tylko w warunkach analogicznych do betlejemskich, lecz również w sposób tak prosty i bezpośredni, jakby nie miało najmniejszego znaczenia, gdzie się Chrystus naprawdę urodził: w Słowacji czy w Betlejem.

I to uczucie, ta bezpretensjonalna naiwność, łamiąca bez najmniejszego skrepowania prawdę historyczną, wszystko, co każdemu chrześcijaninowi jest wiadome o życiu Jezusa — stanowi równocześnie jedną z najważniejszych wartości artystycznych jasełek słowackich.

Czas już wreszcie powiedzieć, co to są jasełka słowackie.

Mieliśmy sposobność widzieć je bezpośrednio w Warszawie, na Wystawie Czeskosłowackiej Sztuki Ludowej, otwartej w roku 1949 w Muzeum Narodowym. Mimo swego wyjątkowego charakteru, jakiego próżno szukać u innych narodów, nie zostały wówczas ani odpowiednio zaakcentowane ekspozycyjnie, ani dostatecznie uwydatnione w katalogu wystawy. Dlatego też zapewne zbyt je tylko kilkoma wierszami w obszernym sprawozdaniu, które ukaże się później w piśmie najbardziej powołanym do właściwej oceny sztuki ludowej, gdzie nawet zapomniano napisać, że tytułową treścią relacjonowanych obrazów jest właśnie Boże Narodzenie.

Jest wprawdzie usprawiedliwienie na takie właśnie potraktowanie jasełek słowackich, jednakże tylko dla pobieżnego widza: sama stajenka z Józefem, Maryją i Dzieciątkłem tak jest zagubiona w mnóstwie scen, przedstawiających życie pasterzy słowackich, że niewłaściwemu może jej nie zauważyć. Tym bardziej, że nie stanowią one obrazu skoncentrowanego, lecz malowane są na długich, wąskich stosunkowo pasach sklejonego papieru, ciągnących się całymi metrami, w każdym miejscu inne, zawsze równie ciekawe.

Nie przedstawiają one jakiegos momentu, ściśle określonej sytuacji, którą dla pasterzy budzonych przez anioła powinna być noc, gdy śpią głęboko po ciężkiej pracy. Gdyby malarz ludowy do tego tylko się ograniczył, nie zdołałby oddać własnej wizji — zespolenia Narodzin Chrystusa z całym swoim życiem. I dlatego też tworząc jasełka, malując szopkę, odtwarzał je w jednej zamykającej wszystko syntezie, w której mieści się zarówno dzień, jak i noc, praca oraz wypoczynek, monotonia powszechna i przerywające

ją z rzadka wydarzenia. Jednym słowem wszystko, co składało się na ubogie życie pasterza słowackiego, takie samo zresztą jak naszych górali tatrzańskich.

Realizm powstałego w ten sposób obrazu jest tym silniejszy i bardziej sugestywny, że wkomponowany został w górski krajobraz, pełen nierównych wzniesień, z drzewami zdobitymi, jak koronka, cały horyzont, ożywiony rozsiadłymi wszędzie kierdelami owiec i przedstawionymi w pewnym dystansie, na drugim planie niejako, dzikimi zwierzętami i ptactwem.

Wszystkie te wymienione akcesoria i elementy, jakkolwiek ważne dla treści artystycznej jasełek słowackich, nie decydują jednak o najistotniejszym wyrazie ich i wrażeniu jakie na nas wywierają. Pierwszy głos w tym względzie posiada prosta, spokojna liryczna przedstawionej sceny, dająca się odczuć w każdej zarysowanej scenie oraz w każdej postaci pokazanej zawsze odmiennie, w sposób charakterystyczny dla sytuacji, w jaką została wprowadzona.

I tak samo naturalnie, prosto i bezpośrednio namalował ludowy artysta słowacki anioły budzące pasterzy, a także szopę ze Świętą Rodziną, niczym nie różniącą się od schematycznie zaznaczonego sąsiedniego szalasu, w którym bacia warzy ser. Nieznacznie jedynie zostały tu uwypuklone zwykłymi akcesoriami postacie Józefa, Maryi i Dzieciątkła, nie tak jednakże, by je było można od razu zauważyć przy pierwszym rzucie oka na tętnące wprost opowiadaniem obrazkowym długie pasmo barwnego fryzu.

Spróbujmy podążać za jego treścią przedstawioną na odłuku tu reprodukowanym

Najbardziej na lewo pokazał nam artysta ludowy dwa zasadnicze aspekty zawodu pasterskiego: pracę, uwidocznioną tu przez nabieranie wody ze studni, opatrzonej daszkiem i kołowrotem, oraz spokojną kontemplację, w czasie, gdy napasione owce swobodnie igrają na hali a funkcje pasterza sprawuje pies, obiegający kierdel. Okres ten wyzyskuje juhas grą na kobzie, wsparty swobodnie o pień.

Wokół palącego się ogniska roz-

lokowała się cała grupa pasterzy. Wszyscy siedzą lub leżą; jeden pokręca wasy, drugi śpi, inny rozpałtuje coś w postawie zbliżonej do Chrystusika Frasobliwego, całkiem jak jego pierwowzór. To wszystko dzieje się na pierwszym planie. Na horyzoncie zaś, czy nawet poza nim widzimy wysokie domy, zapewne miasteczko a obok nich anioła w obłoku. Pasterze go jednak nie widzą, nie patrzają bowiem w tamtą stronę. Jest zapewne noc gdyż między domami wisi sierp księżycy, z profilem twarzy ludzkiej.

Następny obrazek, to rano. Jeder juhas doi owce, zamknięte jeszcze w koszarze, drugi rąbie drzewo, trzeci coś gniecie w naczyniu, a na szczycie pagórków pasterze niemrawie pilnują owiec: siedząc, leżąc i grając na fujarce, a nawet drze-

Wacław OLSZEWSKI

Wzrokiem dzieciństwa zamknąć świat bliski i znany: półmroki i półcienie, sylwetki i ściany i okno, jak obrazek, który matka dobra trzyma w dłoniach: świat mały, zadumany obraz. Ojcowskie słowo mocne, jak sztandar, jak system, bezpiecznie i radośnie drży dzieciństwa listek w konarach dłoni mocnych; matczyne pieśczęty — pasat ciepły, deszcz w maju i słoneczny dotyk... Noc jest jasna, gdy matka dłonią ciemność odgoni, tęcza wschodzi po burzy pod dotknięciem tej dłoni, granat nie wybuch, gaśnie pożar i smutek pod lampą, na obrusie, w cieniu bergamutek.

miąc w pozycji stojącej, wsparłszy twarz na kij. Podobną sytuację widzimy bardziej na prawo, nad daszkiem, wspartym na trzech słupach, pod którym bacia miesza mleko w kotle stojącym na ogniu. Juhasi u góry jedzą, przy palącym się ogniu stoją jakies naczynia, a dwaj inni znowu grają: na kobzie i na trombicie. Jest zapewne południe lub wieczór.

Bezpośrednio na prawo pewnie znowu noc. Władc to po wilku, który porwał jagnię, broczące obficie krwią i po śpiącym przy ognisku juhasie. Ale sen jego został przerwany. Klęczy bowiem nad nim anioł i szarpiąc go za ramię wskazuje owe domy z wymienionym poprzednio aniołem. Drugi pasterz klęczy przy tym pobożnie, a dym z ogniska prościutko idzie w górę.

Dalej czkłem zwyciężajny dzień. Słońce o twarzy ludzkiej świeci po-

nad skałami, owce się pasą, juhasi leżą lub grają, a dziewczyna niesie wodę z ocembrowanego źródła.

Na tym się kończy nasza reprodukcja. W rzeczywistości taka przepłatanka rzeczy zwykłych z bożonarodzeniowymi ciągnie się dalej, zależnie od fantazji malarza. Ona też dyktuje mu ukształtowanie poszczególnych scen a zmysł estetyczny — formalne środki wyrazu, którymi wzbogaca przedstawioną treść, zawsze o tym samym schemacie zasadniczym, lecz o wielu wariantach.

Jeden z nich widzimy na fragmencie jasełek innego artysty ludowego, nie zamieszczonym przy tym artykule. Malarz, który go wykonał dbał bardziej o efekty rytmiczne, zaznaczone wyraźnie w schemacie smrków, cieniowaniu stroju pasterkiego, równomiernie rozmieszczonych kępkach traw, a najdobitniej w konstrukcji pustego koszar, przetworzonego na dekoracyjny ornament. Bardziej też rozbudował realia, do których włączył suszące się oszczyпки, wiele naczyń bédnarskich, budę dla psa, robienie masła, czego nie było w obrazie poprzednim. Nade wszystko jednak wzbogacił świat dzikiego płacwa i zwierząt. Ptaki umieszczone wszędzie; siedzą na drzewach, latają w powietrzu, a ol-

brzymi, psiry dzieciół kuje dziupłę drzewa, zaraz tuż obok człowieka robiącego masło. Łakomy wilk przygląda się z dala obozowisku, a jakiś nikiły zwierz przemyka się chyłkiem za szalase. W obrazie tym natomiast mniej urozmaicenia posiadają ludzie; wszyscy skierowani jedynie w stronę kotła, w którym bacia z fajką w zębach warzy ser, wszyscy zaabsorbowani jedynie swą pracą. Brak też tu sztafetu z owieczek, które zostały umieszczone na dalszym fragmencie tych jasełek, bardziej uporządkowanych rzeczowo, tak jak poprzednie nasycone były pewnym romantyzmem, a nawet rzecz można — pewnego rodzaju sentymentalizmem, przebijaającym chociażby z ciągle przedstawianych postaci grających.

Na zakończenie warto zaznaczyć, że przedstawione jasełka słowackie nie są jakąś sztuką pradawną, a reprodukowane tu obrazy powstały na początku wieku bieżącego.



Zamiast recenzji — drukujemy obszernie fragmenty kilku spośród otrzymanych wypowiedzi na temat „Drzew chodzących”. Sądźmy, że w ten sposób naj-

piej damy świadectwo żywej reakcji, z którą spotkała się ostatnia powieść Jana Dobraczyńskiego.

Red.

PODRÓŻ W SAMOTNOŚCI

Dwa są bowiem sposoby czytania książek. Jeden pod kątem widzenia historii, o której się w nich pisze, i drugi pod kątem widzenia tej historii, jaka się dziś tworzy. Opowieść o historii, a związek z historią są to bowiem dwie zupełnie różne sprawy. Pierwszy sposób podoba się dzieciom; konieczny jest studentom; sprawa rozkosz erudyty i uprawna do komentarzy. Lecz jedynie przy pomocy drugiego można przyciągnąć ludzi i zapewnić wieczność dziełu, którego rozgłos i zasięg są jakby statym tworzeniem i zależą przede wszystkim od szczerości i prostoty, z jaką otrzymujemy odpowiedź na pytanie: — Co może nam do powiedzenia dziś, o dniu dzisiejszym i dla dnia dzisiejszego.

(Jean Marce nac: *La beauté du diable*, Paris, 1950).

1.

GŁÓWNA, najbardziej prawdziwa, niejako instynktownie... przez Dobraczyńskiego wybraną drugą jest epika, narracyjna relacja o ludziach, życiu i świecie — pisze Zbigniew Banderdzak*). Jest to, wydaje mi się, jeden z centralnych punktów problemu. W swoich utworach par excellence epickich, Dobraczyński wykazał bardzo wiele równowagi i zdrowego rozsądku przywiązując tak wielką wagę do fabuły i narracji. Uczucia Antoniego dla Anny, Krystyny dla Antoniego, Anny dla Krystyny są w *Drzewach chodzących* komunikatywne, ponieważ są opowiedziane i to wszystko. Niewiele więcej trzeba by było do powierzchownego streszczenia fabuły książki. A czy faktycznie może zostać w rękach tylko to; (podkreślenie moje) fabuła. Jeszcze jedną literacką obróbką „trójkąta”. Książka może cieszyć się ogromnym powodzeniem... tematu, który zawsze poddany jest „do czytania”. To trochę — za mało.

Ale całą resztę stanowią w *Drzewach chodzących* przeżycia. Istotne, ważne, ale wewnętrzne, a co najważniejsze — niepowtarzalne, bo różne u każdego człowieka. Toteż podjęcie — obrzygnięciu naprawdę — wysiłku przedstawienia istotnych przeżyć Antoniego, próba odnotowania jego myśli, skojarzeń i uczuć musiała zaprowadzić w świat niepoznawalny, samotny, zagubiony wśród innych światów ludzkich równie obcych jak niepojętych. Nikt nie jest w stanie opisać samotnego, ani odtworzyć przeżyć innych ludzi. Wszelkie próby idące w tym kierunku nie przynoszą nic ponad złudzenie prawdziwego poznania. Gorzej, wszelkie próby tej podróży w samotność niszczą *en passant* jedyny świat, w którym człowiek może porozumieć się z drugim człowiekiem — świat rzeczywisty.

2.

Co o nim wiemy na podstawie *Drzew chodzących*? Powiedzmy szczerze: niewiele. Antoni jest pisarzem, jego przyjacielem Leon — księciem, dr Anna — wschodzącą sławą lekarską, Krystyna — żona Antoniego, matka Krzysia, którego Anna ryzykowną operacją uratuje od śmierci. Wszyscy mieszkają w Warszawie. Antoni był we Włoszech. Krystynę poznał na nartach w Zakopanem. To trochę za mało.

A przecież *Drzewa chodzące* są opowieścią o losach kilku osób realnych, wpisanych w pewien sposób w krąg naszego współczesnego życia społecznego. Książka ujawnia jednak mało, chwilami aż boleśnie mało szczegółów mówiących o konkretnym życiu bohaterów; szczegółów, które na podstawie faktów pozwoliłyby nam ocenić, co stanowi rzeczywistą tego życia treść, co stanowi rzeczywiste i realne „sedno sprawy”. Zamykamy książkę z uczuciem niedosytu, do końca zadając sobie pytanie, gdzie leży właściwy sens słusznej i prawdziwej egzystencji ludzkiej, i w jakich realnych treściach się on przejawia.

Świętość? Zachowanie kilku podstawowych nakazów moralnych? Oczywiście. Co do tego nie może być najniższej wątpliwości. Świętość nie tylko monopolizuje myśli bohaterów *„Drzew chodzących”*, ale także

uzasadnia ich postępowanie... Ci ludzie niemal „zawodowo” rozstrząsają tę sprawę. Myślą o niej prawie nieustannie. Toteż z jednej strony zachodzi aż obawa o nadużycie, a co za tym idzie — o dewaluację tego słowa. Z drugiej strony nieuchronnie budzi się ciekawość: a co kieruje postępowaniem bohaterów wtedy, kiedy owych kilka naczelných zasad świętości nie może im dać żadnych wskazówek? Co robią stając w obliczu nie tych naprawdę trudnych życiowych kolizji, w których zachowanie ich określone jest niejako a priori postawą światopoglądową, ale w obliczu zwykłego wyboru życiowego, w którym przeważają to lub inne cechy ludzkie? Cechy występujące w zwykłym współżyciu na tle społecznym. Jeżeli odpowiedź na te pytania ma być końcowa decyzja dr Anny, to bardzo, bardzo niedobrze. Bo w psychologicznej powadze myśli, żarliwych też, pośpiesznie ucharakteryzowanych „na konkrety” jest to w *Drzewach chodzących* właściwie jedynie realne działanie, którego sens zbyt łatwo odczytać jako ucieczkę...

Cechy psychologiczne i motywy nie wyprowadzone bezpośrednio z praktyki społecznej nie ulegają jej selekcyjnemu działaniu. Brak jedności życia prywatnego i tego, co nazywamy potocznie „polityką”, nie pozwala na ukazanie żadnych starc obiektywnych racji historycznych, wybijając na pierwszy plan psychologię i obyczajowość powieściowych bohaterów. Zmusza to autora do zrezygnowania z ich pełnowymiarowej kreacji. Nie tłumaczy tego — fakt, że bohaterowie ci żyją w warunkach i konfliktach o znacznie szerszych, niż nadprzyrodzonych perspektywach. To zdawałoby się aż nadto. A jednak... trochę — za mało.

W psychologicznej podbudowie *Drzew chodzących* nie trudno odróżnić podwójne niejako dno. Pierwsze, łatwe i nie wymagające objaśnienia, to zwykły pokład psychologiczny, za którego pomocą Dobraczyński — wchodząc w motywy i intencje postępowania swych bohaterów — różnicuje ich indywidualnie. Niepokoju dopiero drugie dno, głębsze, w którym bwestry pozornie prąd przeżyć wewnętrznych ścina się w odrębne, przeciwstawiane sobie dramatycznie przeżycia świętości. W każdym z bohaterów ścina się ono w kształt podobny, jeśli nie taki sam. Jedyną tragedią uniemożliwiającą porozumienie i wyjaśnienie: so bę wszystkiego, jest właśnie całkowita nieprzekazywalność tego uczucia. Autor na próżno próbuje ustawić je w coraz to inne konfiguracje: przeżycie jest jedno, ilość jego elementów zbyt szczupła dla zapalenia i wyraźnego określenia owego drugiego dna książki. Wynagradzać to powinna — i w innych powieściach tak jest istotnie — obrzygnięta siła epicka z jaką Dobraczyński otwiera resztę powieściowego świata. Tej równoważącej siły w ostatniej powieści brak niemal zupełnie.

3.

Drzewa chodzące są niewątpliwie rozrachunkiem pisarza z całą dotychczasową twórczością. Z własną konwencją powieściową. Z jej niedo mogań i przerostami. Rozrachunek taki był koniecznością dyktowaną wewnętrzną samokontrolą i troską o to, by swemu czytelnikowi, który ma do niego tak wielkie zaufanie, pokazać się w całości, bez reszty, wprowadzić go we wszystkie zakamarki własnego warsztatu pisarskiego. Zastanówmy się jednak nad metodami i wynikami tego eksperymentu. Czy Dobraczyński potrafił należycie zabezpieczyć się przed błędem „biegunowości”, zbyt krótko go przerzucić się do powieści epickiej do psychologicznej, słowem: przed zbyt bliskim psychologizowaniem, unikaniem realiów życia? Pytanie to pozostawiam jeszcze do rozstrzygnięcia prawdomożnej dyskusji, sam jednak odpowiem krótko: nie. *Drzewa chodzące* są — jak każda książka Dobraczyńskiego, utworem szlachetnym w intencjach i niezmierznie ciekawym. W tej pasjonującej dla mnie powieści jest coś z trudnych i zawiłych zmagania, coś z napiętej i pełnej nadziei atmosfery „czasu burzy i naporu”. Stąd może — tak dla tego rodzaju książki dotkliwy — brak obiektywizacji przeżycia artystycznego.

Ale w ogólnym rachunku twórczości pisarza, na tle jego dotychczasowych osiągnięć i doświadczeń, *Drze-*

wa chodzące nie są utworem ani rozstrzygającym, ani przekonującym o prawdziwości rozstrzygnięć, które pisarz swym bohaterom proponuje. Książka byłaby przeciętnie dobrą, może nawet zupełnie dobrą powieścią psychologiczną, gdyby nie była dziełem Dobraczyńskiego. Jako etap jego twórczości, jest oznaką słusznego może kierunku przełomu, ale jest jednocześnie błędny w swej „biegunowości” zaprzeczeniem dotychczasowego typu epiki. To chyba główny błąd *Drzew chodzących*. Błąd zbyt całkowitego zerwania z dobrymi przecież tradycjami dla wzbogacenia swego warsztatu pisarskiego o wartości nowe, które jednak bez tych

właśnie realistycznych tradycji nie mogą funkcjonować.

Reasumując, jest to książka, którą Dobraczyński powinien był napisać, i której nie powinien był tak napisać. Masa gorącego, niezorganizowanego tworzywa przywaliła pisarza. Pisarz zaś zwycięża tylko wtedy, gdy jest zwycięzca tworzywa. I właśnie dlatego, że prawdziwe życie Antoniego, Anny i Krystyny płynie właściwie poza kartami powieści — czytelnik otrzymuje niejako rezultaty skomplikowanych przemysłów i działań bohaterów — właśnie dlatego niepokoi mnie wynik ostatecznej oceny tego eksperymentu.

Leszek Krzyszkowski

UWSPÓŁCZEŚNIONE POJĘCIE ŚWIĘTOŚCI

A więc po serii książek historyczno-hagiograficznych otrzymaliśmy znowu utwór o tematyce współczesnej. Ale — i to jest najistotniejsze — nie pozbawiony cech hagiografizmu...

Przypomnijmy sobie po krótko *dr matris personae* tej powieści, która dzięki ostro postawionemu problemowi centralnemu wywołuje wiele sprzecznych ze sobą sądów, a nawet budzi szereg wątpliwości.

Przed wszystkim — małżeństwo Krońskich. Antoni jest pisarzem katolikiem, świadom ogromnej odpowiedzialności i zadań, które na nim z tego tytułu ciąży. Skończył prawo, brał udział w kampanii wrześniowej, siedział w obozie, był we Włoszech, pracował w konspiracji; po wojnie znowu zajął się swym pisarstwem — ale na

wet ta różnorodność przeżyć nie dała mu ani w części owej pełni życia, za którą tęsknił, a nawet zazdrościł jej małemu żołnierzowi ołowianemu, Jeffersonowi — zabawce z lat dzieciennych — który, dzięki bujnej fantazji małego Antosia, przeżywał przygody, o jakich filozofom się nie śniło. Ów to Jefferson stał się z czasem w myślach Antoniego jakimś nieosiągalnym symbolem życia pełnego rozmachu i niezwykłości, które winno być udziałem prawdziwego twórcy. Jednocześnie Antoni — będąc nie tylko pisarzem katolikiem, ale katolikiem z najgłębszych przekonania i szczerą praktyką — słusznie rozumuje, że dążenie do owej pełni życia jest sprzeczne z zasadami chrześcijaństwa, bo u progu tych dążeń gnieździ się kłębowski wszelkie-

PRZEŻYWAM okres zupełnego spokoju wewnętrznego. Ukoro-

nowaniem jego stałaby się niewątpliwie decyzja Jego Eminencji, gdyby nie fakt, że stwarza ona okazję do dwuznacznych i kiepskich żartów. Robert zostanie wzięty w ryzy. W takich wypadkach autorytet Kościoła wspaniale wypełnia swoją rolę. My, chrześcijanie, nie jesteśmy osamotnieni. Duch św. kieruje Kościołem. Nad nami stoi pasterski, nie najemnik, który staniedbuję przy każdej okazji swe stado, ale przeciwnie opiekun, który każdej chwili gotów jest oddać życie dla ratowania zagubionej owieczki. Robert zostanie wysłany do jakiejś zakazanej dziury w okolicach Paryża. Tam poprowadzi pracę misyjną. Otrzyma zwierzchnika, który będzie go wychowywał a jednocześnie nim kierował. Jako człowiek rozumny Jego Eminencja nie zamierza hamować szlachetnych uniesień Roberta, lecz nadać tym pięknym, acz kruchym dążeniom ludzkim, piętno wielkości Kościoła.

Chirurgzy amputowali ks. Dziekanowi nogę. Wdała się gangrena. Nasz kalendarz starców pełen jest smutnych dat. Ks. Dziekan, chociaż tak obojętnie ustosunkował się do naszych zamierzeń zdeorganizowanych zupełnie na skutek śmierci Delmesa był człowiekiem dobrym. Spośród wszystkich dziekanów, jakich znałem, on był jednym z najlepszych. Pod koniec zebrania Kapituły, na którym zakomunikowano nam tę nie pozostawiającą żadnych złudzeń nowinę, część kolegów, antypatycznych zresztą, uznała za stosowne zaatakować moją osobę. Stałem właśnie z nosem utkwionym w szafie, gdy jeden z kanoników, uważany powszechnie za umysł wybitny, choć przez całe życie zajmował się wyłącznie nauczaniem, rzucił w moją stronę:

— No, cóż Serrurier, stałeś się wielkim księdzem apoteoznikiem!

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o czym mówi.

— No jak to, a ten młody Robert? Nie wystarczy mu już, że jest księdzem, co?

— Przeciwnie — wykrzyknąłem — tego tylko pragnie!

— Tak, tak, i dlatego zamienia sutannę na robotniczy strój, kuma się z coraz bardziej podnoszącym głowę proletariatem i zamierza oca-

Trójgłos o

go rodzaju grzechów głównych, eo ipso — domena szatana. Tak więc pisarz Kroński trafia w ślepią uliczkę nie mogąc pogodzić narzuconych sobie zadań twórcy — znawcy dusz ludzkich — z obowiązkami dobrego katolika. „Jeffersonizm” Krońskiego, a nawet całe jego pisarstwo ma przy tym nieprzejednanego i wcale nieukrytego wroga we własnej żonie Antoniego.

Krystyna nigdy nie ceniła w Antonim pisarza. Wynikało to m.in. z tego, że nigdy go nie kochała. Jakże więc mogło dojść do małżeństwa? Krystynie po prostu imponowała miłość Antoniego. Ze małżeństwo oparte na tak kruchej podstawie, jak jednostronna miłość, nie mogło rokować dobrych nadziei — zauważył to jeszcze w okresie narzeczeństwa Krońskich przyjaciel Antoniego, seminarzysta Leon: „Lecisz na oślepek jak śmieć. Ale zobaczysz jeszcze. Przekonasz się kiedyś. Będiesz tego strasznie żałował...” Przyszły ksiądz Diewoński okazał się dobrym prorokiem. Krystyna jest jednak dobrą matką, matką kochającą swe dziecko tak dalece, że w czasie powstania, broniąc małego Krzysia, została kontuzjowana i obecnie jest kaleką. Człowiekiem pozbawionym władzy w nogach, a więc walczywie w codziennym życiu domowym — nieużytecznym. Dom prowadzi jakaś daleka kuzynka Antoniego, a Krystyna prześiaduje całymi dniami w swym fotelu, myśli i modli się. Niewesołe to myśli, ciężkie to modlitwy. Tym myślom i modlitwom akompaniuje dolatujący z pokoju męża klekot maszyny albo... częsta nieobecność Antoniego. Krystyna wyobraziła sobie, że cała twórczość Antoniego jest jednym wielkim aktem zaklamania.

Daniel PEZERIL

Uliczka

lic Kościół przy pomocy komunizmu!

Ten stek głupstw przyprowadził mnie o młodości. Krew uderzyła mi do głowy. Na oślepek chwyciłem laskę i wyszedłem klnąc na czym świat stoi. Przypomina mi to inne jeszcze insynuacje, tym boleśniejsze, że uderzające w Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Czy powinienem zapisać je tu tutaj? Muszę się im przeciwstawić, muszę się od nich uwolnić! A więc powie dziano jeszcze, ośmielono się powiedzieć także: „Ah! więc obecnie Msza św. odprawiona będzie na stole kuchennym przy użyciu starego kieliszka i brudnej chustki do nosa. A celebrant występować będzie wystrojony w koszulę z krótkimi rękawami”. Pieniłem się ze złości. „Oczywiście... oczywiście — odpowiadali — naturalnie”. Po co w ogóle otwieram usta? O, mój dobry księżu biskupie, jakże dalecy jesteśmy od miłości bliźniego głoszonej przez naszych świętych Apostołów, nawet tu w najbliższym otoczeniu nikt Waszej Eminencji nie rozumie.

Pojadą. Postanowiłem pojechać tam i zobaczyć wszystko na własne oczy. „Wielki ksiądz robotnik!” Czy

oni ze mnie kpią? W moim wieku! Któż pozwolił im oczerniać w tak obrzydliwy sposób blisko 80-letniego starca?

Wszak pogardzałem ludźmi, których inteligencja na nic się nie zdała. Ludźmi, którzy przez całe życie opierają się wyłącznie na tym, co wyniesli ze szkoły, nie zagłębiając się ani w książki, ani w dyskusje. Pod tym względem, przyznaję — są genialni! Ale myślą na opak. Prawdę przemieniają w fałsz. Z automatyzmem maszyn potrafia utracić każdą wartość. Okazuje się, że są rzeczy, których nie można z człowieka wykorzystać i nie pomogą tu ani tytuły uniwersyteckie, ani jakie kto chce inne.

Ach powietrza, powietrza!... Sobota 11 godzina.

Oto powróciłem już z mojej szalonej eskapady. Do Roberta przyjechałem około godz. 19 min. 30, tak jak mnie o to prosił. Jako jedyną wskazówkę miałem numer jakiejś ulicy. Ani kościoła, ani plebanii. Wszedłem przez szare drzwi o podwójnych skrzydłach, spod których sączył się strumyk brudnej wody. Chociaż znajdowałem się w obrębie



* „Tygodnik Powszechny” nr 27/433 „Rozmowa o pisarzu”. Następne cytaty — również stamtąd.
** Jan Dobraczyński: „Drzewa chodzące” Powieść. Pax, 1953; s. 254.

Dobraczyńskim

Zresztą nawet jej stosunek do Boga ma cechy jakiegoś samoudręczenia, gdzie od pokory niedaleko jest do buntu, od poddania się — do wyrzekania czy nawet bluźnierstwa. Ale dla całokształtu sprawy ważny jest tylko jeden fakt: małżeństwo Kronńskich — to ich obustronna omyłka, której skutki ponosić mają całe życie, bo ich zasady moralne, c. k. k. katolicka — a ze strony Antoniego jeszcze i uczucie współczucia czy li: tożej wobec chorej żony — nie pozwolą im rozejść się. Nie pozwalają im złamać sakramentu małżeństwa. I wiemy, że tej boskiej instytucji nie rozbije już nikt, jeśli nie dokonał tego tak niezwykły „mimowolny dywersant”, jakim jest doktor Anna Rajnert.

Anna jest znanym i zdolnym chirurgiem. Młoda, przystojna, inteligentna, wysportowana. Człowiek o wysokiej kulturze osobistej, o wysokiej etyce — ale niekatolickiej. Wierzyła kiedyś w Boga, ale w jej rodzinnym domu Bóg był na ustach matki i na ścianach pokoi — nie było Go w sercach mieszkańców. Tata Rajnert handlował, przeprowadzał w czasie okupacji podejrzone transakcje z oficerami Wehrmachtu, a mama smażyła święte konfitury modląc się do „swojej” Matki Boskiej o ... powodzenie dla „interesów” męża... Anna czuła wstręt do atmosfery domowej, nie czuła zbyt wielkiej miłości do swych rodziców — „typowych „strasznych mieszczan”. Anna poszła własną drogą życiową...

Antoni zapalił w sercu Anny jakiś nowy, nieznanie jej dotąd ogień. Ale Anna ani przez chwilę nie będzie usiłowała przyciągnąć Antoniego do siebie — oderwać go od domu.

Kluczowym wydarzeniem utworu jest katastrofa samochodowa, której ofiarą pada mały Krzys. Doktor Rajnert operuje chłopca i ratuje mu życie. Zdawało by się, że fakt ten jeszcze bardziej zbliży Annę do Antoniego. Tymczasem dla Anny jest to nieodwołalny sygnał do zniknięcia z kręgu widzenia Antoniego. Anna rozstaje się nawet z ulubionym szpitalem, ze swym mistrzem — dr Majewskim — pojedzie w teren, leczyć chłopskie dzieci. A więc ucieczka? Nie. „Zrozumiałam — tłumaczy Anna staremu profesorowi, który nie może pogodzić się z jej odejściem ze szpitala — że ocalamy drugiego, gdy jesteśmy wierni sobie...” „Ja... muszę walczyć o drugich. Gdybym zaczęła walczyć o swoje, byłby ze mną koniec”. Oto jest credo życiowe Anny. Ratuje życie dziecka ukochanego człowieka i idzie dalej. Zwycięza, ale nie kosztuje owoców swego zwycięstwa. Kocha, ale nie zwulgaryzuje swej miłości melodramatycznym szukaniem drogi jej spełnienia. Zresztą i Antoni jest od tego daleki. Antoni, który w perspektywie utracenia dziecka, chciał w zamian za życie Krzysia złożyć Bogu w ofierze swoje pisarstwo, swój talent — jako najwyższy wyraz poświęcenia — pojmuje teraz, że Bogu niepotrzebna jest taka ofara. Antoni będzie pisał dalej, tak jak Anna będzie nieśladą ulgę cierpiącym. Dzięki Annie poznał Antoni, pisarz katolicki, nową, wielką prawdę. Na ołtarzu wyryte cechy składać można swe szczęście osobiste, jeśli wymagają tego okoliczności, nie wolno natomiast czynić ofiary ze swych uzdolnień, jeśli służą one innym.

Dochodzimy do sedna sprawy. Książka Dobraczyńskiego ukazuje — zgodnie z rzeczywistością — jak w środowisku katolickim krystalizuje

się właściwa ocena wartości ludzi spoza tego środowiska. Ludzi stojących nieraz o wiele wyżej w pojmowaniu praw rządzących życiem i obojętności wobec bliźnich niż to się spotyka u niektórych katolików. Oto jakie wnioski — zasadnicze dla całej powieści — nasuwają się Kronńskiemu w związku z uczynionym podziwem dla cech charakteru Anny: „Jakim ona jest pięknym człowiekiem! Zdarza się nam nieraz myśleć, że poza katolikami nie ma przyzwoitych ludzi. Mnie samemu zdarzało się tak dawniej myśleć. Zwłaszcza przed wojną. Żyliśmy w zbyt zamkniętych grupach. Nie spotykało się w ogóle ludzi o innych przekonaniach, o innej wierze. O tamtych myślało się jak najgorzej. Dziś ludzie przetasowali się”.

Z tego właśnie przetasowania wynika, że głęboko religijna Krystyna była niby ów ewangeliczny ślepiec, który zdołał przejrzeć o tyle, iż widział „niby drzewa a ludzi chodzących”.

Laska powtórnego włożenia rąk (czyli jasność widzenia swych błędów i zrozumienie dla spraw Antoniego) spływa na Krystynę w oczekiwaniu na wynik operacji Krzysia. Późno, ale n. gdy za późno. Należy przypuszczać, że życie ich ułoży się teraz inaczej niż dotąd. Ale czy się ułoży? Jeśli tak, to wielka, choć pozornie ukryta zaśluga w tym Anny, jej taktu, mądrości życiowej, bohaterstwa. I jej świętości...

Aż świętości? Czy to aby nie przesada? — zawoła, być może, ktoś nie znający treści książki.

Przewidziałem ten okrzyk i dlatego pozwoliłem sobie na parę cytatów, które — jak sądzę — dostatecznie wyjaśnia sprawę.

tłum. Wanda URSTEIN

Notre Dame*)

Paryż, miałem wrażenie, że jestem gdzieś na zapadłej wsi. Mój młody ksiądz wiedząc, jak łatwo tracę rezon, uprzedził mnie z góry: „Dzwonka nie ma, niech ksiądz kanonik od razu wchodzi”. Pociągnąłem więc silnie zasuwę, która przypominała raczej zamknięcie piwnicy niż mieszkanie. Przede mną rozciągało się obszerne, brukowane podwórze, jakże z pewnością znaleźć można w Pouilly-les Oies, wraz z jego normalnymi rekwizytami w postaci śmietników, zgromadzonych w kącie narzędzi i najrozmaitszych odpadków życia kamienicy. Jakaś poczciwa kobieta zawołała do mnie: „Tędy proszę księdza, proszę tutaj”. Znalazłem się w kuchni. Robert był za ęty. Kobieta wskazała mi miejsce na ławce, na której siedziało już kilka osób. Nie przestając ani na chwilę coś tam pitrasić, zabawiła nas rozmową. Wszyscy obecni najwidoczniej znali się między sobą. Później zorientowałem się, że tak nie było. Ale nikt by tego nie zgadł. Dowiedziałem się, że kobiecie na zryku jedzenia nie tylko dla siebie, ale dla nas, dla nas wszystkich. Będziemy jeść po uroczystości. Ławka, na której siedziałem była na pewno porządnie twarda. Tego wieczoru jednak ze zdenerwowania nie zwróciłem na to uwagi. Staraliśmy się mieć oczy i uszy otwarte. Mój sąsiad, robotnik w moim wieku, z porozumiewawczą miną rzucił mi jak się słowo, którego nie dosłyszałem, ponieważ nie mając zębów mówił niewyraźnie. Wtedy żona jego, niewiasta olbrzymich kształtów, schrypniętym nieco, ale przenikliwym głosem powtórzyła za nim: „Zgrzało się?” Rzeczywiście zły byłam potem. Widząc, że tym razem rozumiałem, mąż powtórzył znów: „Zgrzało się?” Najwidoczniej czekał na odpowiedź. „Tak — powiedziałem — szedłem szybko, bałem się spóźnić, zgrzałem się”. Zareagował namiętnym znakiem przeczenia, a myśląc widocznie, że jestem głuchy, wrzasnął mi do ucha. „Tu się człowiek nigdy nie spóźnia”. Dzieci bawiły się, niemowlęta ssały pierś, a kilku mężczyzn w sile wieku czytało Pismo św. Wreszcie ja-

kiś dryblas, liczący około trzydzieści lat, uchylił drzwi, których dotychczas nie zauważyłem: „Ksiądz zaraz przyjdzie”. Kiedy Robert wchodził, hehnięciem właśnie laską w podłogę. Siedziałem przy tym plecami do drzwi, tak że dopiero owa pitrasząca jejmość rzuciła mi nagłe: „No, przyszedł już ksiądz, na którego wasza wielbność czeka”. Robert ubrany był w kombinizon, jaki noszą mechanicy i choć od razu spostrzegłem, że jego dłonie i paznokcie pokryte są nie dającymi się zmyć plamami smaru, to jednak nie zauważyłem wcale, by utracił cechy osoby duchownej. Ręce Roberta upodobniły się tylko do rąk jego ojca i dziada. Byli to prawie ludzie. Ot, co. To dobra zaprawa dla księdza. Wszyscy przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, ja szedłem pierwszy. Byłem bardzo wzruszony. Pożerając wzrokiem młodego kapłana bezwiednie powtarzałem cichutko: „Mój drogi Robert, mój drogi Robert...” Czulem się jak matka. Znajdowaliśmy się na parterze dwu czy trzy piętrowego domu. Przepierzenie odgradzające uprzednio jakiś lokal zostało zburzone. Robota przeprowadzona była domowymi środkami, niedokładnie, szybko i oszczędnie. Mogło się tu pomieścić około trzydziestu osób. Biurko Roberta wraz ze stołem bawiarzy, i Pisma św. i sterta papierów odsunięto na bok. Ten sam dryblas przygotowywał prawdopodobnie salę do wieczornej Mszy św. Mury za naszymi plecami, choć świeżo pobielone, zaczęły już wilgociać. Wokół stołu, który przystawiano dla celebransa, rozłożone były zgrzebne, ale czysto wyprane prześcieradła. Obecni ustawili się w półkole, dzieci na przedzie. Znalazłem się blisko nich. Stałem na skrajku pierwszego rzędu. Tuż przy ścianie.

Kiedy Robert, przebrany w szaty kapłańskie, odwrócił się w naszą stronę i rozpoczął modlitwę, wyglądał tak, jak gdyby zstąpił z jakiegoś obrazu gotyckiego. Wydało mi się, że patrzę na kolorową ilustrację mszału. Byłem wstrząśnięty. Pomyślałem o tych wszystkich lu-

Są w omawianej książce Dobra- czyńskiego dwie dłuższe rozmowy o świętych i świętości. Oto ksiądz Dzie- woński rozmawia z Krystyną. Kry- styna, pełna wątpliwości i rozpacz, woła: „Po co mówić o świętych? Mo- że ich w ogóle nigdy nie było? Kto kiedy widział prawdziwego święte- go? Świętych może tylko wymyślił ksiądz... Albo tacy, co piszą...” Wtedy ksiądz Leon odpowiada: „To nieprawda. Święci bywają... Ja sam widziałem jednego z nich... To była — moja matka... Miała nas czterech, największych łobuziaków na całej Krochmalnej... Ojciec umarł wcześnie. Ale ona chciała, abyśmy wyszli na ludzi. Więc się zaharowy- wała... Prosta kobieta... Miała jiole- towę, zmęczoną rękę. Puchły jej no- gi. Prata w dzień, prata w noc. Gdy miała lat czterdzieści kilka, wy- glądała na staruszkę... Zaprała się na śmierć... W końcu nie mogła cho- dzić... A przecie żał jej było życia... Takimby chciała dożyć chwili, kie- dy się urządził. Takimby chciała zo- baczyc, jakim będziesz...” Ale nie zo- baczyla. I dlatego mnie sie wydaje, że była święta...”

Druga rozmowa toczy się między Kronńskim a jego przyjaciąłem z lat walki i niewoli, Malewiczem. „Stu- chaj, stary — mówił Malewicz — kiedy ty się weźmiesz do pisania o ludziach współczesnych? No i o zwy- kłych ludziach, nie o tych jakichś swoich świętych? Dałbys już raz spokoj całej tej bernanosowszczyzny. Antoni potrząsnął mocno głową: — Wiesz dobrze, że pisze się o tym, co się czuje. Dla mnie współ- czesność jest pełna problematyki. Lecz aby te problemy zobaczyć, mu-

szę na nie spojrzeć z perspektywy. A święci? Chyba czujesz, że jest to zagadnienie kluczowe i bardzo współ- czesne w naszej katolickiej posta- wie... Dziś katolik nie może nie my- śleć o świętości. A gdy pisze — nie może o niej nie pisać. Łudzi się, uważając to tylko za modę czy wpływ Bernanosa”. W dalszym cią- gu dyskusji Malewicz wzywa Kron- skiego do napisania powieści o ja- kimś współczesnym świętym, stwier- dzając jednocześnie, że „istnieje rze- czywiście coś w naszej epoce, co sta- wia człowieka wobec obowiązku wy- bierania drogi wielkości... Wy nazy- wacie to „glodem świętości”, praw- da? My mówimy po prostu: bohater, choć rozumiemy, że to dzieje się bo- haterstwo jest czymś innym, więk- szym niż bohaterski gest w walce. Lecz właśnie dlatego pokazujemy tych naszych bohaterów, na tle współ- czesności, która jest równie, jak oni wielka...”

Wówczas Antoni odpowiada: „Może masz trochę racji... Myśla- lem już o tym. I nawet chcę obecnie pisać o kimś współczesnym. — No? O kiedzu?”

Nie. Myślałem o lekarzu... O ko- bicie-lekarzu...”

Z dialogów tu w skrótach przyto- czonych wylania się bliskie nam, jak by uwspółcześnione pojęcie świętości, pojęcie bardziej humanitarne niż ortodoksyjne, a polegające na boha- terstwie dnia powszedniego, na wno- szeniu w życie bliźnich konkretnych, pozytywnych wartości. Jak w wypad- ku praczeki Dzieńńskiej. Jak w wy- padku lekarza Rajnertówny. Quod erat demonstrandum.

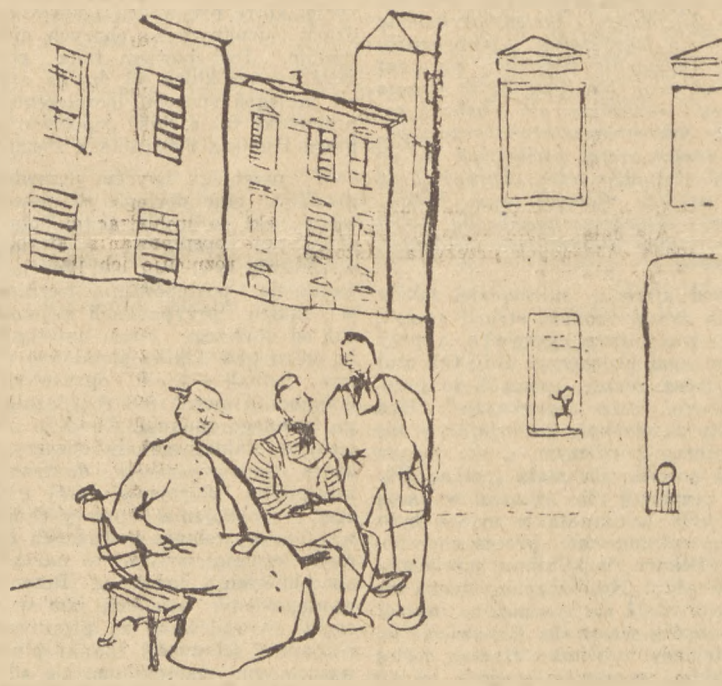
Henryk Kmita

W ZWĘŻONYM KRĘGU

1. OSTATNIA książka Dobraczyń- skiego zawiodła nas, jego sta- łych i oddanych czytelników. Każdy

przynajmniej mamy prawo do ludzkie- go i zupełnie zrozumiałego uczucia: spodziewać się od autora, który jest

(Dokończenie na str. 10)



gdzieś indziej. Wiarę, której nikt w nich nie podejrzewa. Kazaniem tym i sposobem, w jaki zostało wysłuchane, Pan Nasz zo- stał prawdziwie uwielbiony. Z głębi serca oddawałem mu cześć. Ale co zrobić, jak opisać sam sposób od- prawiania Mszy św.? Jak zdać z nie- go sprawę? To przecież był stół, a my stailiśmy wokół. „Bierście i po- żywajcie, albowiem to jest ciało mo- je. Pijcie wszyscy, to jest krew mo- ja”. Ale najbardziej uderzyła mnie potężna modlitwa do Trójcy św. Oto ci prostacy, to pospólstwo z całej mocy przyzywało Trójcę św. Nieste- ty rzadko kiedy, nawet pobożni wier- nicy z naszych „dobrze prowadzonych” parafii zdają sobie sprawę, że Msza św. toczy się w łonie Trójcy prze- najświętszej. Świadomość ta wyma- ga najczęstszego wykształcenia teolo- gicznego. A i wśród nas, księży, nie trafiła się ona zbyt często. A tym czasem ci ludzie przeżywali ją w prostocie swoich serc. „Ojcze — mó- wiał mój pięćdziesięcioletni mężczyzna — przez Syna Twego Jezusa Chry- stusa Błogosławimy Cię. Dziękujemy Ci za Jego błogosławioną mękę, za Jego pełne chwały Zmartwychwsta- nie i Wniebowstąpienie”. Następnie przyszła kolej na ów słynny ustęp,

zarazem tak zwięzły i tak mylnie rozumiany, w którym mowa jest o Świętym Aniele Bożym, który zło- żył ma ofiarę. Trzeba było pracy egzegetów, by wyjaśnić ostatecznie jego znaczenie. Ja sam, nim zrozumi- ałem wreszcie, że chodzi tu o Du- cha św., naczytałem się na ten te- mat szereg sprzecznych ze sobą dzieł. A tymczasem oni mówili. „Ojcze, jakże my sami możemy Ci ofiarować Syna Twego Jezusa Chry- stusa? Niech więc Duch, który jest miłością Ojca i Syna, ofiaruje Ci Go za nas, abyśmy tego ołtarza uc- zestnicy otrzymali pełnię błogosła- wienstwa”.

Niemal wszyscy obecnie rozchylali wargi na przyjęcie pokarmu eucha- rystycznego. Ja, choć ksiądz, nate- żałem do tych niecierpliwych, którzy nie przystąpili do Komunii św. Na- zajutrz odprawić miałem moją sa- motną mszę w katedrze! Tu zna- lazłem się pomiędzy jeszcze nie ochrzczonymi. Było mi przykro. Chciałbym również i ja...

*) Drukowany fragment zacierpnięty jest z powieści pt. „Rue Notre Dame”, której autor, Daniel Pezeril, sam jest księdzem. Książka napisana w formie dziennika przedstawia dzieje duszy staro- go kapłana w zelknieciu z osobowo- ścią młodego księdza robotnika.

Lucyna OSIEWALSKA

Listy przyjaciół

„Z werandy roztacza się piękny widok. Szczyty Karkonoszy toną już w śniegu. Dobrze stąd widać schroniska na Sznycy i na Śnieżnych Kotłach. Nie masz pojęcia, jak tutaj jest ślicznie. A górskie, orzeźwiający powietrze jest dla nas bardzo pożyteczne. To cno jest jednym z naszych „lekarzy“ przywracających siłę i zdrowie. Ono pomaga nam zwalczyć gruźlicę...”

Jan Hanisz, górnik jednej ze stalinogrodzkich kopalni „czarnego złota“, odłożył pióro i zamyślił się. Opisał swemu przyjacielowi wszystko, co tutaj przeżywa — i radość z tego, że z każdym dniem powraca do zdrowia, i smak zżytych lekarstw, i biel fartuchów lekarzy oraz pielęgniarek, i piękną okolicę. I jeszcze — poradził swemu przyjacielowi, aby także się leczył. Dopiero tutaj bowiem Jan poznał potęgę medycyny. Niechaj wie o niej przyjaciel z Zabrze.

„Mamy w naszym sanatorium własną salę operacyjną, gdzie przepala się pacjentom zrosty opłucnowe, jeżeli odma dobrze nie uciska płuc. Ale Ty pewnie ani nie wiesz, co to odma, ani — czym są te pierwotne zrosty. Więc chore, zagrzuźliczone płuco trzeba unieruchomić, aby mogło się ono dobrze leczyć. Otóż odma polega na tym, żeby do klatki piersiowej wtłoczyło powietrze, które uciśnięte będzie schorzałe płuco. Ponieważ płuco często jest przyrośnięte do opłucnej takimże zrostami uniemożliwiającyymi dobre działanie odmy, trzeba te zrosty przepalić. I takie właśnie zabiegi wykonuje się na naszej sali operacyjnej. Dzięki nim, dzięki stałemu werandowaniu na świeżym powietrzu, dzięki troskliwej opiece naszego dyrektora Głuchego oraz doctora Zielinskiej i pielęgniarek, dzięki nowym lekarstwom przeciwgruźliczym, codziennie poprawia się nasz stan zdrowia. Na razie są to jeszcze zmiany niewielkie, ale urobisz sobie, że jak mnie ostatnim razem bałabasi lekarze, powiedzieli, że po takiej trzymiesięcznej kuracji będę już zdrowy. Pomyśl sam, bracie, zdrowy. Wyleczony z choroby, która dawniej była uważana za nieuleczalną...”

Przed kilkoma miesiącami młody górnik zaczął kaszleć, stracił apetyt, miał wieczorami gorączkę, a przy pracy zaraz się męczył. Gdy tak czuł się coraz gorzej, poszedł do prześwietlenia. I co się okazało? Oba szczyty zajęte były rozwijającym się procesem gruźliczym, a w lewym płucu powstawała mała jamka. Hanisz przyszedł do lekarza w samą porę. W takim stanie można było szybko zahamować proces chorobowy. Lekarz kopalniany powiedział mu wtedy: „No, Hanisz, trzeba się mięciem brać za leczenie, bo inaczej może być z wami źle. Pojedźcie do sanatorium!“ I tak Hanisz dostał po jakimś czasie skierowanie na leczenie sanatoryjne do Kowar, skąd po wstępnych badaniach przyjechał leczyć się do Szklarskiej Poręby. Tu już nabiera siłę, a choroba opuszcza go. Dzieje się tak dlatego, że młody

górnik w porę rozpoczął leczenie. Gdyby bowiem choroba poczyniła w organizmie większe spustoszenie i doprowadziła do znacznego ubytku tkanki płucnej, nie skończyłoby się to tylko na leczeniu klimatycznym i odmie. Trzeba by wtedy pójść na poważną operację.

„Bardzo jestem zadowolony z pobytu w sanatorium. Żyjemy tu wszyscy jak w jednej rodzinie. Jest między nami jeden taki robotnik z Poznania, który przed wojną pracował u Cegielskiego. I zachorował wtedy. Jak tylko się w fabryce dowiedzieli, że on gruźlik, to zaraz zwolnili go z pracy i chłop pozostał na bruku bez forsy. Przeszło pół roku czekał na sanatorium, a jak już tam pojechał, to zaraz musiał uracać, bo okazało się, że nikt za niego ubezpieczalni nie płacił, więc w sanatorium miejsca dla niego nie było. Zabrał mi tamtejsi lekarze odnę, ale musiał ją po powrocie do domu rozpuścić, bo nie mógł wynaleźć dziesięciu złotych, jakie co tydzień żądał od niego prywatny lekarz za dopełnienie odmy. I tak biedak męczył się jeszcze przeszło rok. Potem przyszła okupacja, gruźlica przerzuciła się na drugie płuco, ale mocny organizm nie dawał się pokonać. Pogorszyło mu się tak, że już go prawie kostucha zabierała, ale wreszcie doczekał naszych czasów. Teraz leczy się co roku w sanatoriach i przychodzi do zdrowia. Nasze państwo zapewniło mu i pracę i możliwość całkowitego wyleczenia się. Właśnie niedawno był w sanatorium w Butowcu, to tu niedaleko, gdzie wykonano mu operację, która zapewniła mu szybki powrót do zdrowia...”

Właśnie w Bukowcu znany chirurg klatki piersiowej, dr Stefan Warszawski, wykonuje poważne operacje, które przywracają zdrowie ludziom uznanym za chorych nieuleczalnie. Jest bowiem taka postać gruźlicy, na którą od dawna szukano jakiegoś sposobu leczniczego. To przypadki takie, jak „opisywanego“ przez Hanisza robotnika z Poznania.

W przebiegu bowiem przewlekłej gruźlicy płuc dochodzi w pewnych wypadkach do ubytku tkanki płucnej znacznych rozmiarów, czyli do powstawania tzw. jam obrzecznych. Zagadnienie postępowania leczniczego w takich przypadkach zajmowało już od dłuższego czasu umysły wielu chirurgów klatki piersiowej. Zadał jednak z wielu opracowanych dotychczas metod nie rozwiązało tego trudnego zadania. Chodziło o znalezienie takiej metody operacyjnej, która doprowadziłaby do trwałego zamknięcia obrzecznej jamy gruźliczej i uspokojenia sprawy chorobowej bez wywołania poważnych zaburzeń czynnościowych w narządach oddechowych i krążeniu. Przyczyny występowania wielkich jam w płucach spowodowane są gwałtownym rozpadem schorzonej tkanki płucnej, wywołanym załamaniem się sił odpornościowych — biologicznych chorego. Leczenie takich jam należy do najtrudniejszych we ftjzjochirurgii.

Dr Warszawski z Bukowca zastosował radykalną metodę leczenia ta-

kich wielkich jam, która polega na skojarzeniu zamkniętego sączkowania jamy gruźliczej z torako—plastyką następczą. Metoda ta zasługuje na uznanie, gdyż nie wywołuje wspomnianych już zaburzeń i nie doprowadza do zniekształcenia klatki piersiowej. Z innych prac naukowo-leczniczych doktora Warszawskiego wyróżnić należy najnowszą metodę leczenia dużych jam, zwaną steleotomią lub kawernotomią, polegającą na otwartym leczeniu obrzecznej jamy gruźliczej. Za przykładem lekarzy-chirurgów radzieckich, dr Warszawski stosując tę metodę przywrócił zdrowie wielu ludziom uznanym już za chorych „nieuleczalnie“.

Wobec najnowszych metod chirurgicznego leczenia gruźlicy płuc, wobec skutecznego działania antybiotyków i środków chemoterapeutycznych, jak streptomycyna, czy polski „Nikozyt“, — z całą stanowczością można odrzucić pokutujące jeszcze do niedawna twierdzenie, jakoby gruźlica była chorobą nieuleczalną.

W rodzinie Hanisza przed wojną brat i kuzyn umarli na gruźlicę. Młody górnik wie, że dzisiaj mogliby oni żyć. Że nasze ludowe państwo zatroszczyło się o ich zdrowie, a nasi lekarze wyleczyliby ich. Wie on, że to Polska Ludowa stworzyła nowe, wspaniałe warunki leczenia. Że dzisiaj na koszt państwa może leczyć się każdy człowiek pracy.

„Często przebywamy w naszej świetlicy. Wczoraj zredagowaliśmy nową gazetkę świąteczną poświęconą te gorącym „Dniom Zwalczenia Gruźlicy“. Ja też napisałem do niej artykuł i wspólnie z jeszcze jednym pacjentem skombinowałem rysunek, na którym narysowałem dwóch górników. Jeden z nich „odpoczywa“ przed wojną na małym podwórku śmietniku, a drugi, żyjący już w naszych czasach, ma możliwość leczenia się w pięknych sanatoriach i uzdrowiskach...”

Bo rzeczywiście — bardzo zmieniły się warunki, w jakich leczono i leczy się gruźlicę. Dopiero dzisiaj można mówić o prawdziwej walce, którą toczy się z najgroźniejszą chorobą społeczną, jaką jest gruźlica. Przed wojną gruźlica stale rozprzestrzeniała się, co roku zbierając obfite żniwo śmierci robotników i chłopów, zwłaszcza młodzieży. Do walki przystąpili nasi lekarze — społecznicy, wyposażeni — niestety — tylko w dobre chęci i w fundusze zebrane u „dobrych ludzi“. Państwo w bardzo małym stopniu przyczyniało się do zwalczania tej plagi społeczeństwa.

I w Polsce przedwrześniowej odbywały się „Dni Przeciwgruźlicze“, ale apelowano wtedy tylko do ludzkich serc i dobroczynności, a zapomniano o uświadomieniu społeczeństwa, o akcji zapobiegawczej, o profilaktyce. Nie było ustawy przeciw gruźliczej. Na 10.000 ludzi umierało na gruźlicę — w roku 1931—20. Na jedną poradnię przeciwgruźliczą



przypadało w 1936 roku 70 000 osób. Polska zajmowała jedno z naczelnych miejsc w śmiertelności ludności państw europejskich na gruźlicę. „Pierwszeństwo“ w śmiertelności na gruźlicę należało do Jugosławii, Polska podążała w ślad za nią... Czyż więc można było wtedy mówić o prawdziwej walce z chorobą?

Okupacja hitlerowska pogłębiła jeszcze bardziej zacofania w tej dziedzinie. Likwidacja poradni przeciwgruźliczych oraz wywiezienie aparatów rentgenowskich i umieszczenie lekarzy w obozach koncentracyjnych przekreśliły w zasadzie jakakolwiek możliwość walki z gruźlicą. Nic więc dziwnego, że śmiertelność na gruźlicę wzrosła w tym czasie prawie trzykrotnie.

Po wojnie należało zahamować rozwój gruźlicy, chorych wyleczyć i odrobić wszystkie przedwojenne i wojenne zaniebania. Dlatego rząd nasz rozpoczął natychmiast planową i zorganizowaną akcję zwalczania tej groźnej choroby. W wyniku masowych prześwietleń, szczepień ochronnych, nowego wyposażenia sanatoriów przeciwgruźliczych i stale wzrastającej opieki lekarskiej nad chorymi, śmiertelność na gruźlicę zmalała do połowy w porównaniu z okresem przedwojennym, trzykrotnie zwiększyła się liczba łóżek sanatoryjnych, a każdy chory ma dzisiaj możliwość bezpłatnego leczenia i całkowitego wyleczenia się z gruźlicy.

Dobrze to rozumie górnik Hanisz. Wie, że to właśnie Polsce Ludowej zawdzięcza fakt umieszczenia go w sanatorium i troskliwą opiekę, jaką roztaczają nad nim lekarze i pielęgniarki.

„Mój artykuł to napisałem w gazetce świątecznej o tym, z czym powrócimy po leczeniu do pracy. Napisałem, jak ogromne znaczenie ma cała ta wielka akcja lecznicza, na którą nasz rząd i partia leżą tak duże sumy pieniędzy. I właśnie wtedy pomyślałem o Tobie. Przecież i Ciebie tak bardzo męczył ten uporczywy kaszel. Już Ci raz lekarz powiedział, że masz początki pylejki. Sam mnie namawiałeś na leczenie. Miałeś, choć pie, rację. To leczenie bardzo mi pomogło. Ale i Ty lecz się. Pomyśl, o ile więcej węgla uśrednimy, jak już nie nam nie będzie dokuczano...”

Długo czekał górnik Hanisz na odpowiedź. Już nawet myślał, że list zaginął. Bo przecież przyjaciel odpisałby mu na pewno. Przesiadł więc wyglądać listonosza. Ale oto pewnego dnia siostra sanatoryjna przyniosła młodemu górnikowi list. Nie był on jednak ani z Zabrze, ani ze Stalinogrodu. Stempel pocztowy głosił: Szczawno-Zdrój. A opisywał mu przyjaciel.

„Twój list nie zastał mnie już w Zabrze. Jestem teraz w Szczawnie, uzdrowisku pewno jeszcze piękniejszym, niż ta Twoja Szklarska Poręba. Dobrze piszesz, żebym i ja się leczył. Już od dwóch tygodni tu siedzę. Wypoczywam i nabieram siły, po dobie jak Ty. I mnie leczenie bardzo służy. Mamy tu opiekę lekarską także bardzo dobrą, a całe sanatorium wyposażone jest w wiele takich przedmiotów „cudów“ lekarskich, o których opowiem Ci jak już zabierzemy się po powrocie do pracy. A myślę, że już niedługo spotkamy się w kopalni. Obaj zdrowi!”

(Dokończenie ze str. 9)

Trójkąta o Dobraczyńskim

do pewnego stopnia naszym autorem, książek jasnych dla nas; o problemach, które będą do przyjęcia; o sprawach, które rozumiemy i pokochamy.

„Drzewa chodzące“ są wynikiem próby napisania powieści współczesnej o problematyce katolickiej. Z mojego stanowiska — i problematyka i atmosfera „Drzew chodzących“ są nieporozumieniem tym bardziej przykrym, że książka wyszła spod pióra pisarza dojrzałego i wyjątkowo upoważnionego do podjęcia takiej próby z pełnym powodzeniem.

Problematyka współczesna z naszego katolickiego i postępowego stanowiska wymaga innego, krancowo odmiennego ujęcia zagadnień dzisiejszych — niż obracanie się w kręgu „naszych inteligentnych spraw“ w rozumieniu tego określenia w sposób nie dzisiejszy, dawny, międzywojenny.

Problematyka współczesna, z naszego społecznego punktu widzenia, domaga się prac jasnych, o problemach ostro zarysowanych i zdecydowanych, miast rozpraszania się na indywidualne „rozanalizowania“ indywidualnych dusz i indywidualnych humorów i n. e. humorów.

Problematyka współczesna — myślę nadal o naszej katolickiej problematyce — domaga się dzisiaj tego, co przez lat kilka wołano w litera-

turze marksistowskiej, a o co my dzisiaj również zaczynamy wołać. Domaga się bohatera pozytywnego, człowieka z krwi i kości.

Tematy, zagadnienia literatury katolickiej błagają się częstokroć po zaułkach, po peryferiach życia. Ta peryferyjność naszej twórczości — jeśli nie zostanie przełamana, nie przysporzy nam zrozumienia wśród oceniających się i rozmyślających... Prosta droga do przełamania peryferyjności w naszej literaturze jest odwaga i umiejtność postawienia problemów dnia nie w jednej, ale w szeregu książek. Możemy z całą słusznością twierdzić, iż brak umiejtności pisarskich nie powinien stanąć Janowi Dobraczyńskiemu na drodze do spełnienia tego obowiązku.

Nie pragnę oczywiście sugerować, że Dobraczyński, taką książkę musi napisać, względnie napisze. Z dotychczasowego dorobku pisarza można wysnuć wniosek, iż tematy współczesne — ściśle: „tematy dnia“ — pisarzowi temu „nie leżą“; lepiej natomiast czuje się on na gruncie powieści historycznej.

2.

MOŻLIWE jest, a nawet na pewno tak się dzieje, iż zagadnienie „trójkąta“ występuje w życiu

współczesnym. Możliwe jest, iż często wszyscy są winni i zasadniczo brak jest wśród trojga zainteresowanych naprawdę winnego. Możliwe jest i to, że pewne kompleksy nie pozwalają, względnie utrudniają właściwe rozwiązania. Wiele jeszcze innych spraw jest możliwych i dyskutując każdą z osobna znajdziemy dla każdej z osobna wytłumaczenie, a pobłażanie dla bohaterów. Nawet i w konkretnym wypadku, traktując rzeczy indywidualnie, rozumiemy motywy postępowania wszystkich postaci. Rozumiemy wszystkie i odpływy humanitaryzmu i stosunku do partnera i zawężenie problemów aż do momentu powstania węzła, który można tylko rozciąć, gdyż rozsuplanie jego jest już niemożliwe. Rozumiemy to wszystko, ale dlaczego taka ma być problematyka katolicka? Czy dlatego, że w powieści występuje książka, że skłócenia są praktykującymi i wierzącymi katolikami, że spowiadają się, posiadają pewne życie duchowe, na którym okoliczności, przyzwyyczajenia i czas wycisnęły piętno katolickie? Czy dlatego, że są słabi słabostkami dnia codziennego a równocześnie silni w sprawach zasadniczych? Nie — to wszystko nie wystarczy! Taka atmosfera katolickości, jak roznuta na kartach „Drzew

chodzących“, jest atmosferą sztuczną. Oczywiście, mamy przed sobą ludzi dobrych w przeświadczeniu własnym, kierujących się pewnymi powszechnie uznanymi kryteriami, ale równocześnie są to ludzie w swej katolickości — drobnomieszczanami.

Każda idea, nawet idea powszechna i niezniszczalna, kosztuje. Formy pewne, pozostałości założeń duchowych, tworzą szkielet, ramy codziennego życia. Szkielet ten jest jednak powolony ciałem, które daje mu swobodę poruszania się, giętkość. Ruch, gdy zamarł — przestał być ruchem. Ludzie ograniczeni takiej formą—szkieletem bez ciała poruszają się w jej kręgu, aby nie znaleźć wyjścia. Postacie Dobraczyńskie go są katolikami, drobnomieszczanami. Jeśli nawet wrócić do siebie, jeśli nawet rozstać się, by wieść życie samodzielnie — czy coś się zmieni? Czy zmieni się ich postawa życiowa? Gdzie są ci święci dnia codziennego odkrywani przez Antoniego? W praktycznych, konkretnych sytuacjach życiowych święci ci „poszli spać“, a w żel rozetnie „ta trzecia“: kobieta o światopoglądzie zlaicyzowanym, a życiowo bardziej dojrzała i — oważe się tu powiedzieć — o dużej własnie katolickości w tym konkretnym wypadku, o dużej żywej...

Mateusz T. MILEWSKI

Reforma kalendarza

CODZIENNA prasa polska w lipcu br. podała wiadomość, że na posiedzeniu Rady Międzynarodowej Organizacji dla Spraw Standaryzacji uchwalono wniosek, zalecający tej organizacji przystąpienie do sprawy reformy kalendarza.

Kalendarz nasz pochodzi w prostej linii od starożytnego kalendarza rzymskiego, który był bardzo prymitywny: rok miał 304 dni, dzielił się na 10 miesięcy o różnej długości od 20 do 55 dni. Pierwszym miesiącem był Martius — marzec, nazwany tak od imienia boga wojny — Marsa. Dopiero legendarny król Numa Pompiliusz (700 lat przed Chr.) miał wprowadzić — pod wpływem kalendarzy greckich — rok księżycowy o 355 dniach przez dodanie dwóch miesięcy. 7 miesięcy miało po 29 dni, 4 po 31 dni, a tylko jeden — luty — 28 dni, co tłumaczy się tym, że zabobni Rzymianie unikali liczb parzystych, uważając je za nieszczęśliwe. Co drugi rok dodawano miesiąc przestępny o 20 — 22 dniach. Tydzień miał 8 dni.

Obowiązek układania i prowadzenia kalendarza należał w Rzymie do kapłanów. Wobec ogólnego zamętu i zepsucia pod koniec republiki wyszkiwali oni to stanowisko dla swoich osobistych korzyści — po prostu sprzedawali terminy świąt ruchomych i miesięcy przestępnych temu, kto więcej zapłacił.

Za czasów Juliusza Cezara chaos kalendarza doszedł do szczytu. Dzień równonocy różnił się od rzeczywistej pozycji Słońca o 67 dni, święto żniw wypadło w zimie, święto jesieni na wiosnę itp.

Na radę astronoma aleksandryjskiego Sosygenesa, Juliusz Cezar zdecydował reformę kalendarza. Zakazano używania roku księżycowego i wprowadzono rok słoneczny. Chociaż Sosygenes ostrzegł Cezara, że długość roku słonecznego obliczono tylko w przybliżeniu, przyjęto, że równa się ona 365 i 1/4 doby, oraz ustalono, że trzy lata zwykle będą miały po 365 dni, a rok czwarty, przestępny — 366. Rachuba czasu według nowego kalendarza zaczęła się 1 stycznia 709 roku od założenia Wiecznego Miasta, czyli w 45 r. przed nar. Chr. Punkt równonocy wiosennej przypadł 24 marca.

W 325 roku zebrał się w Nicei sobór kościelny, który — między innymi — zajmował się sprawą kalendarza. Żeby raz na zawsze zakończyć zawzięte spory na temat daty święta Wielkiej Nocy przyjęto kalendarz juliański jako obowiązujący dla całego świata chrześcijańskiego i postanowiono święta ruchome obchodzić według ruchów księżyca, święta nieruchome — według ruchów słońca. Ustalono, że święto Wielkiej Nocy obchodzone będzie zawsze w pierwszą niedzielę po pierwszej pełni księżyca, która wypada podczas albo następuje po wiosennym porównaniu dnia z nocą.

Jak dziś wiadomo — rok zwrotnikowy, czyli okres czasu, jaki upływa między dwoma kolejnymi przejściami Ziemi przez punkt równonocy wiosennej — wynosi 365, 2422 dni, a nie 365,25 jak przyjęto w kalendarzu juliańskim. A zatem rok juliański był dłuższy od roku zwrotnikowego o 11 minut i 14 sekund, co po upływie 128 lat daje już różnicę całej doby. Na skutek tej różnicy od czasu reformy juliańskiej kalendarz „przesunął się” w stosunku do zjawisk astronomicznych o trzy dni i wiosenne porównanie dnia z nocą w czasie soboru Nicejskiego wypadło już 21 marca. Twórcy starego kalendarza kościelnie go przyjęli, że tak będzie zawsze, co stało się źródłem późniejszych trudności.

W ciągu kilku wieków, które upływały od soboru Nicejskiego, stwierdzono, że dzień 21 marca znowu oddala się od punktu równonocy wiosennej, a władze kościelne zwróciły uwagę, że święta nie są obchodzone w dniach przewidzianych przepisami. Szczególny niepokój budziła sprawa ustalenia daty Wielkanocy. W XV wieku równonocy wiosenna przesunęła się już na 11 marca, jeżeli zatem pełnia księżyca wypadła np. 20 marca — była to pierwsza pełnia wiosenna według astronomii, ale nie według kalendarza. Kalendarz był wyraźnie w niezgodzie z astronomią. Według kalendarza należałoby obchodzić Wielkanocę po następczej pełni, w dniu 18 kwietnia. Ale wówczas święto, które powinno być obchodzone z początkiem wiosny, przesunęło się w kierunku lata. Różnica zdań na ten ważny temat odżyła na nowo. Chcąc temu zaradzić papież Leon X ogłosił *brewe*, wzywające do opracowania reformy kalendarza juliańskiego. Na soborze

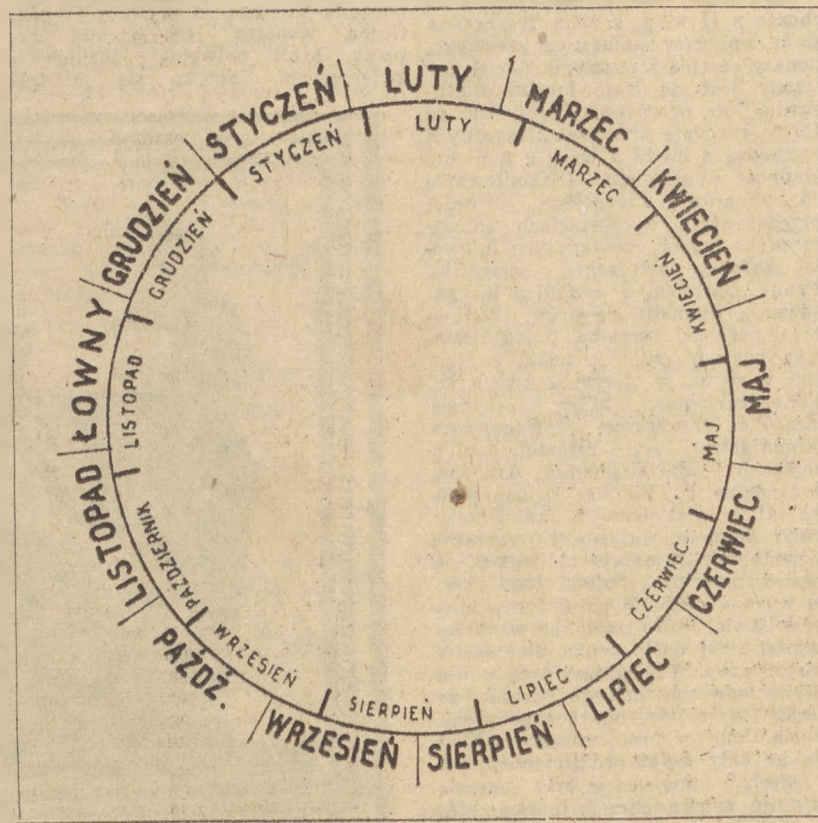
Laterańskim w 1515 r. największe uznanie zdobył projekt pt. „De Reparatione Calendrii”, który złożył Marcin Biem z Olkusza, wychowanek, profesor, a pod koniec życia rektor Akademii Krakowskiej. Podstawą tego projektu było przywrócenie równonocy wiosennej na dzień 24 marca. Ale projekt przyszedł za późno i reforma nie doszła do skutku.

Dopiero papież Grzegorz XIII postanowił uświetnić swój pontyfikat przez reformę kalendarza. Autorem projektu postawiono zadanie, żeby wiosenne porównanie dnia z nocą „wróciło” na zawsze do daty 21 marca. Zadanie to osiągnięto przez „wyżyczenie” 10 dni z kalendarza i wprowadzenie w życie roku kalendarzowego, którego długość, praktycznie rzecz biorąc, jest prawie równa długości roku zwrotnikowego. Za przestępne uznano lata dzielone przez 4 i 400, natomiast lata dzielone przez 100 za zwykłe. (dlatego rok 1900 był rokiem zwykłym). Dzięki temu na każde 400 lat mamy 97 lat przestępnych, a średnia długość roku gregoriańskiego wynosi 365, 2425 dni, czyli że kalendarz „śpieszy się” w stosunku do zjawisk astronomicznych tylko o 1 dobę na 3.330 lat.

Na skutek reformy gregoriańskiej dzień 21 marca „wrócił” do punktu równonocy wiosennej i jeśli nawet w jakimś roku oddali się do tego zjawiska na parę godzin, to w roku przestępnym wraca na dawne miejsce. Święto Wielkanocy przypada zawsze między 22 marca i 25 kwietnia oraz reguluje daty wszystkich świąt ruchomych.

Bulla papieska ogłoszona 1 marca 1582 r. nakazywała, aby po 4 października tegoż roku nastąpił jako dzień kolejny nie 5 a 15 tegoż miesiąca. Nowy kalendarz został stopniowo przyjęty przez różne kraje, przede wszystkim — katolickie. W 1582 r. przyjęły go Włochy, Francja, Hiszpania, Portugalia i — specjalną uchwałą sejmową — Polska.

Przeciwko nowemu kalendarzowi wystąpił ostro Jan Łatos, lekarz, astronom i profesor Akademii Krakowskiej, który upierał się przy projekcie Marcina z Olkusza co do przywrócenia punktu równonocy wiosennej na dzień 24 marca. Na skutek powstałych spórów Akademia w 1601 r. usunęła Łatosa ze swego grona. Udał się On wtedy na Wołyn do ks. Konstantego Ostrojskiego i tam wydał „Nową Poprawę Kalendarza”. W obronie kalendarza gregoriańskiego stanęli jezuita, który jak pisał Brückner — „Łatosi ciele” — nieźle wyszydzał. Spór o kalendarz przeciągnął się w Polsce do połowy XVII wieku.



W 1584 r. wprowadzili nowy kalendarz katolicki kraje niemieckie, a potem stopniowo — protestanckie. Kraje prawosławne przyjęły kalendarz gregoriański w latach 1917 — 23, a ostatnimi ze wszystkich były: Turcja — w r. 1927 i Egipt — w 1926 r.

Reforma gregoriańska wysiłkiem wielu wieków i wielu wybitnych umysłów naprawiła błąd soboru Nicejskiego i usunęła źródło błędów na przyszłość. Początek roku kościelnie ustalono na pierwszą niedzielę adwentu, a początek roku „cywilne-

go” na dzień 1 stycznia. Dotychczas bowiem w różnych krajach rok cywilny zaczynał się różnie: na Bzże Narodzenie, na Wielkanoc, 25 marca, itp. Dzięki temu początek roku cywilnego pozostał oddalony od początku roku słonecznego, (jakim jest punkt równonocy wiosennej) o 80 dni. Reforma pominęła również inne zagadnienie, znacznie łatwiejsze do realizacji, a wydaje się — niemniej ważne. Nie ustalili mianowicie całkowitej liczby tygodni w roku, przez co można było uzyskać jeden „wieczny” kalendarz na wszystkie lata.

SPRAWA „WIECZNEGO” KALENDARZA

ŻEBY uzyskać stały kalendarz na wszystkie lata, to jest taki, w którym wszystkim datom będą zawsze odpowiadały te same dni tygodnia, każdy rok kalendarzowy musiałby się dzielić na całkowitą liczbę 52 tygodni. Żeby to osiągnąć, ksiądz Marco Mastrofini z Rzymu wysunął w roku 1884 projekt, aby ustanowić w roku zwykłym jeden, a w roku przestępnym — dwa dni „bez daty”. Dni te miałyby być poza tygodniami i miesiącami, czyli nie posiadać żadnej liczby porządkowej.

W roku 1913 reformę kalendarza zaproponowała Szwajcaria; sprawa była ponownie rozważana na międzynarodowym zjeździe astronomów, który odbył się w Rzymie w 1922 r., w rezultacie czego przy byłej Lidze Narodów powstał w 1923 r. specjalny komitet dla przeprowadzenia tej reformy. Komitet ten rozpatrzył i ogłosił drukiem około 200 projektów, zgłoszonych przez różne organizacje i osoby prywatne, z których dwa po lecił do wyboru Rady Ligi Narodów.

Projekt pierwszy, proponowany w połowie XIX w. przez twórcę pozytywizmu — Augusta Comte’a, przedstawił schematycznie na rys. 1, a opisany szczegółowo przez M. Czarrowskiego z Krakowa w *Problemach* z lutego rb. — przewidywał podział roku na 13 miesięcy po 28 dni, czyli razem 364. Pozostały dzień bez daty przypadłaby w końcu roku i nazywał się po prostu dniem sylwestrowym. W roku przestępnym byłoby nawet dwa dni sylwestrowe. W kalendarzu tym poniedziałki wypadają zawsze 1,8,15, 22-go dnia w miesiącu, wtorki — 2,9,16,23-go itd. Każdy kwartał ma 3 miesiące i 1 tydzień, czyli 91 dni, a tylko ostatni 92, w roku przestępnym — 93.

Trzynasty miesiąc lokuje Czarrowski między grudniem i listopadem oraz proponuje nadać mu nazwę „Łowny”. Czarrowski dowodzi

STYCZEŃ							LUTY							MARZEC						
N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	29	30	31					1	2	3	4	5	6	7
8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28
29	30	31					26	27	28	29	30			24	25	26	27	28	29	30

KWIECIEŃ							MAJ							CZERWIEC						
N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30		
29	30	31					26	27	28	29	30			24	25	26	27	28	29	30

LIPIEC							SIERPIEŃ							WRZESIEŃ						
N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30		
29	30	31					26	27	28	29	30			24	25	26	27	28	29	30

PAŹDZIERNIK							LISTOPAD							GRUDZIEŃ						
N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob	N	P	W	Sr	Cz	P	Sob
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30		
29	30	31					26	27	28	29	30			24	25	26	27	28	29	30

wprowadzenie w życie tego kalendarza i wydaje nawet w tym celu specjalne czasopismo pt. „Journal of Calendar Reform”.

Ten nowy i stały kalendarz jest identyczny na wszystkie lata: każdy rok i każdy kwartał zaczyna się w niedzielę a kończy w sobotę. Każdy kwartał ma 3 miesiące, 13 tygodni i 91 dni; ale co najważniejsze — wszystkie miesiące mają jednakową ilość 26 dni pracy. Oczywiście, że w roku zwykłym znów pozostaje jeden dzień poza miesiącami i tygodniami, który następuje po 30 grudnia, oznaczony jest W-grudzień, uznany za święto międzynarodowe i nazwany „Dniem Świata”. W roku przestępnym dzień dodatkowy następuje po 30 czerwca, oznaczony jest W-czerwiec, i uznany również za międzynarodowe święto roku przestępnego.

Propozycja ta ma tę zaletę, że wystarczy zmienić tylko sześć dat w roku kalendarzowym, żeby uzyskać stały kalendarz, ale ma tę słabą stronę, że dla wprowadzenia jej w życie trzeba zgody wszystkich albo większości państw jednocześnie.

NOWA PROPOZYCJA

KONIECZNOŚĆ wprowadzenia stałego kalendarza nie wymaga uzasadnienia, zwłaszcza w krajach o gospodarce planowej. Nasz obecny kalendarz składa się właściwie z 14 różnych kalendarzy. Dwa sąsiadnie lata nigdy nie są do siebie podobne. Rok 1952 miał 305 dni pracy, 1953—304, 1954 znów 305. Ale ilość dni pracy w miesiącu waha się od 24 do 27. W roku 1950 święta 1 Maja, 22 Lipca i Boże Narodzenie wypadły w sobotę albo w niedzielę, w roku 1952 w środę tygodnia. Wprowadza to duże zamieszanie do przemysłu, sprawozdawczości, statystyki, buchalterii, programów szkolnych itd.

W związku z powyższym przedstawiamy jeszcze jedną propozycję reformy kalendarza, opartą na następujących założeniach: 1) wprowadzenie stałego kalendarza pozwoliło by na racjonalizację pracy i dokonanie oszczędności w wielu dziedzinach życia; 2) dla uzyskania stałego kalendarza nie trzeba wprowadzać dnia bez daty ani nowego święta międzynarodowego; 3) wprowadzenie do kalendarza dnia bez daty jest nie tylko praktyczne, ale wręcz niezbędne. Nie mamy pod tym względem żadnego doświadczenia i nie wiemy, czy po latach nie okaże się, że zamieszanie, jakie do nowoczesnego życia mogłoby wprowadzić dzień bez daty, nie przekreśli innych korzyści z tego kalendarza.

Jak już mówiliśmy powyżej, stały kalendarz można uzyskać przez całkowitą liczbę tygodni w roku kalendarzowym. A na to w roku zwykłym jeden, a w roku przestępnym dwa tygodnie muszą mieć po osiem dni. Możemy to uzyskać przez zmianę nazwy jednego dnia w roku zwykłym i dwóch dni w roku przestępnym: 31 grudnia i 29 lutego. Przepuścimy, że dzień 31 grudnia nazwiemy „Sylwester”, a 29 lutego „Przestępny”. W rezultacie ostatni tydzień grudnia w każdym roku i ostateczny tydzień lutego w roku przestępnym będą miały po osiem dni — i to jest wszystko czego potrzeba dla uzyskania stałego czyli wiecznego kalendarza.

Najlepiej objaśnić to na przykładzie kalendarza z roku 1950 i 1956. Rok 1950 zaczął się w niedzielę 1 stycznia i skończył w niedzielę 31

grudnia. Gdyby niedzieli 31 grudnia nadać nową nazwę — sylwester, — to wówczas uzyskalibyśmy taki porządek: sobota 30 grudnia, sylwester 31 grudnia, niedziela 1 stycznia 1951 — czyli rok 1951 i wszystkie lata zwykle zaczynają się i kończą tak, jak rok 1950. Każdy rok miałby 305 dni pracy.

W 1956 r. 1 stycznia wypadła znów w niedzielę, ale ponieważ będzie to rok przestępny, więc 31 grudnia wypadnie w poniedziałek. Ale gdyby zmienić nazwę dnia 29 lutego na przestępny, tak żeby wypadł między wtorkiem 28 lutego i środą 1 marca, dzień 31 grudnia przemianować na Sylwester, to 1 stycznia 1957 r. wypadłby znów w niedzielę. Mielibyśmy stały kalendarz na lata przestępne, w którym dwa tygodnie miałyby po osiem dni.

Alle w obydwóch kalendarzach wszystkim datom odpowiadałyby zawsze te same dni tygodnia: 1 stycznia wypadłaby zawsze w niedzielę, 29 lutego w przestępny, 1 Maja w poniedziałek, 22 Lipca w sobotę, Boże Narodzenie w poniedziałek, 31 grudnia w Sylwester, 1 stycznia znów w niedzielę itd.

Propozycja ta ma jeszcze tę zaletę, że pozwala przeprowadzić reformę kalendarza w dwóch etapach: w pierwszym, który nie wymaga żadnych decyzji w skali międzynarodowej — każdy kraj indywidualnie przeprowadza zmiany nazwy dni 29 lutego i 31 grudnia. Odpowiednie uchwały mogą być powzięte już teraz. Na całym świecie nadal obowiązują daty według kalendarza gregoriańskiego, tylko że w krajach o kalendarzu zreformowanym przy każdej dacie byłaby zawsze ta sama nazwa dnia tygodnia, a w krajach o kalendarzu niezreformowanym nazwy dnia tygodnia przy jednej i tej samej dacie zmieniałyby się z roku na rok.

To w każdym razie mniejszy dowód niż fakt, że przekraczając linię Zmiany Daty na Pacyfiku musimy znaleźć od kierunku drogi cofnąć albo posunąć kalendarz o jeden dzień, tak jak się przesuwa zegarki na Atlantyku. Albo że w gazetach amerykańskich z dnia 19 sierpnia, czytamy depesze z Tokio z dnia 20 sierpnia, a co ciekawsze — nic na to nie możemy poradzić.

Pierwszy etap zakończy się z chwilą, kiedy wszystkie albo większość państw przyjmie wieczny kalendarz przez zmianę nazw 29 lutego i 31 grudnia. Sądymy, że wówczas będzie znacznie łatwiej przeprowadzić drugi etap, to jest ująć po jednym dniu w miesiącach: marcu, maju i sierpniu, a dodać dwa dni w lutym i jeden dzień w kwietniu.

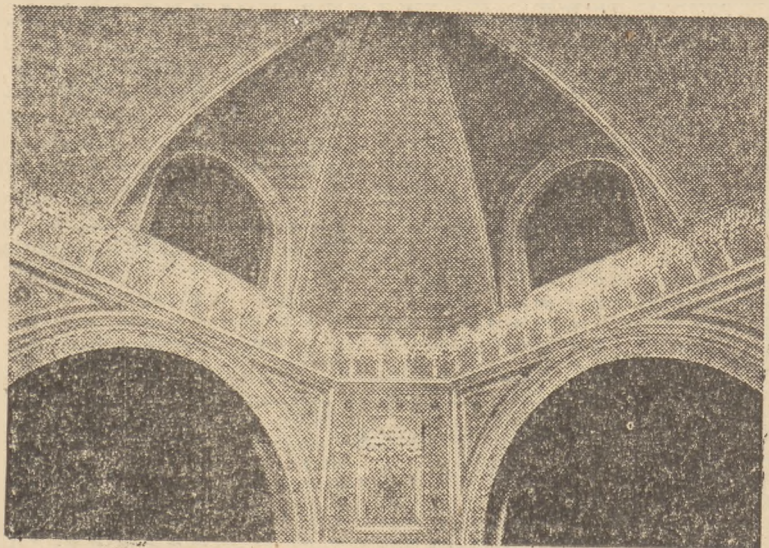
Od 29 lutego 1956 dzieli nas niewiele ponad dwa lata, co wcale nie jest dużo na tego rodzaju decyzję. Zdajemy sobie sprawę, że zagadnienie reformy kalendarza nie jest najważniejszym z problemów, jakie stoją dzisiaj przed ludzkością, skoro jednak reforma taka została postanowiona, sądymy, że nasza ambicja narodowa i nasza wspaniała tradycja — która omówimy innym razem — nakazuje, żeby w projektach, złożonych Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie zabrakło i polskiej inicjatywy.

Na zakończenie pragniemy zaznaczyć, że rozważania powyższe nie dotyczą kalendarza kościelnego — do czego nie jesteśmy powołani — a odnoszą się jedynie i wyłącznie do kalendarza cywilnego.

Mateusz T. Milewski

Danuta PASZKIEWICZ

Nieznane skarby Tunisu



Muzeum, dawny harem zbudowany w XIX w.

P OŁOŻENIE geograficzne Tunisu nadaje mu dość duże znaczenie strategiczne we wschodnim rejonie morza Śródziemnego. Dlatego też militariści amerykańscy postanowili założyć tam swoje bazy wojskowe i faktycznie włączyli Tunis do systemu „obrony atlantyckiej”. Niebezpieczeństwo to oraz kolonialna polityka rządu francuskiego wzmogła waleczność narodu tunijskiego o niezawisłość narodową. Mimo represji policyjnych i manewrów politycznych w rodzaju uchwalonego w 1952 r. w Paryżu planu „reform” dla Tunisu, naród tunijski nie zaprzestaje walki o zniszczenie istniejącego od przeszło 70 lat protektoratu. Ostatnie wypadki w Afryce Północnej, postawienie sprawy Maroka i Tunisu na forum międzynarodowym, skupiają na sobie uwagę opinii światowej.

Problem Tunisu, to problem dużej wagi historycznej i politycznej, dlatego warto zainteresować się bliżej tym krajem i narodem, który od kilkudziesięciu lat walczy o prawo do niepodległego bytu. Stosunkowo mało znamy przecież ciekawą i bogatą przeszłość Tunisu. A historia i sztuka tego kraju zastępują na bliższe zapoznanie się z nim, ponieważ Tunis był od wieków terenem, na którym ścierały się różne wpływy kulturowe i różne cywilizacje.

Okolo roku 1100 p. n. Chr. Fenicjanie założyli na brzegach afrykańskich swoje pierwsze kantory. I tak powstały Hadrumete (dzisiejsza Suza), Utique, Hippo-Zarrhitus (dzisiejsza Bizerta), Tunee (dzisiejszy Tunis) i wreszcie Kartagina. Miasto to było wyłącznie kolonią handlową, dziełem emigrantów z Tyru. W ciągu niecałych 400 lat Kartagina wysunęła się na pierwsze miejsce spośród wszystkich posiadłości fenickich nad Morzem Śródziemnym. Rozciągała swoje wpływy na północno-zachodnią Afrykę, na Hiszpanię i organizowała wiel-

kie wyprawy morskie zapuszczając się poza cieśninę Gibraltarską (Słupy Herkulesa) do Zatoki Gwinejskiej — na południu i do Wielkiej Brytanii — na północy. Kartagina zagrażała interesom Rzymu rywalizując z nim skutecznie w ówczesnym świecie antycznym. Była to typowa rywalizacja gospodarza — jedna z pierwszych w dziejach świata. Ta rywalizacja doprowadziła w końcu do szeregu wojen między Rzymem a Kartaginą, w wyniku których Rzymianie zwyciężają Kartaginę i w roku 146 p. n. Chr. burzą miasto. Następnie Rzym kolonizuje te tereny i wraz z Trypolitanią tworzy z nich prowincję rzymską pod nazwą Africa. Włączona do świata rzymskiego Kartagina odradza się, rozpoczyna się nowa era dobrobytu, który trwa prawie sześć wieków. W V wieku n. j. n. Wandalowie pustoszą kraj aż do chwili, gdy Bizancjum zagarnia te tereny pod swoje panowanie. W VII w. Afryka Północna zostaje zdobyta przez Arabów, którzy umacniają swoją władzę na przeciąg dziesięciu stuleci. I dopiero najeźdźcą Turków w XVI w. wypiera Arabów z Tunisu. Turków z kolei wypierają w połowie XIX w. Francuzi.

Każda epoka kulturowa w Tunisie przejawia się w sposób wyraźny w sztuce.

Sztuka pojawia się wraz z podbojem kraju przez Berberów, pierwszych najeźdźców, o których dochowały się relacje. Sztuka berberyjska cechuje prymitywną prostotą. Motywami dekoracyjnymi tkanin, dywanów, bżuterii, wyrobów garncarskich są pochodne figur geometrycznych: punktu, zbioru punktów, linii prostych i łamanej, kwadratu, koła, trójkąta. Są też bardziej złożone, jak: kostka, romb, rozeta, krzyż stylizowany.

Z okresu punickiego dochowały się wprawdzie nieliczne pomniki sztuki architektonicznej, ale za to dość duża ilość rzeźb. Jeżeli jednak mało możemy powiedzieć o architekturze punickiej, to — przeciwnie — prowincjonalny styl rzymski spotykany w Tunisie reprezentują dość licznie zachowane zabytki architektoniczne. Pewna ilość tych zabytków i pomników sztuki znajduje się pod ochroną w miejscu ich znalezienia, większość jednak, zwłaszcza przedmioty mogące ulec zniszczeniu przewiezione zostały do muzeów. W Tunisie istnieje Muzeum Narodowe w mieście Bardo, jedno z najpiękniejszych muzeów na świecie, mieszczące się w gmachu dawnego haremu zbudowanego przez Mohameda-beyę w połowie XIX w., muzeum im. Lavigerie w Kartaginie oraz dwa muzea prowincjonalne w miastach Sfax i Suza.

Najpiękniejsze punickie rzeźby i sarkofagi zdobione statuami naturalnej wielkości (odnalezione przez Białych Ojców) znajdują się w muzeum im. Lavigerie w Kartaginie. Niemniej wspaniałych zabytków sztuki punickiej posiada muzeum w Bardo. Wymienimy tu choćby niezliczoną ilość stalli zdobionych symbolami boskimi, które Kartagińczycy umieszczali w swoich świątyniach ponad urnami zawierającymi prochy ofiar, nierzadko ludzkich; bogatą kolekcję masek z terrakoty przedstawiających bogów, które składano w grobach lub świątyniach dla odpędzenia złych duchów; głowę barana wyobrażającą boga libijskiego Ammona znaną z grobowcu punickim na przykładzie Bon-

głowie Venus, kopię rzeźby greckiej z IV w., odkopaną w Kartaginie. Ale największe bogactwo muzeum w Bardo stanowią zabytki z okresu neopunickiego, tzn. epoki panowania Rzymu, gdy kultura punicka wpra-

dzie istniała, ale przystosowywała się do kultury zdobywcy. Z tego okresu pochodzi statua Wielkiej Bogini o głowie iwa ze świątyni Thinissut wykonana z ceramiki, oraz posagi bogów fenickich (Ball, Mammon, Tannit) ze świątyni w Bulla Regia o postaciach bogów greckich: Apollina, Demeter i Asklepiosa.

Zawdzięczając przypadkowi muzeum w Bardo znalazł się w posiadaniu jednej z najbogatszych na świecie kolekcji rzeźb greckich. Wiosną 1907 r. pewien poławiacz gąbek zauważył na pełnym morzu w pobliżu miasta Mahdia szczytki zatopionej galery leżącej na dnie morskim. Był to statek italski, który wyruszył z Pireusu ok. 86 r. p. n. Chr. z ładunkiem bogactw artystycznych załadowanych w Atenach Zapędzony przez burzę statek daleko na południe, wskutek znacznego obciążenia, osiadł na lawicy piasku. Szczytki jego kadłuba skrywały w ciągu ponad dwóch tysięcy lat dzieło brązownika Boethos z Chalcedonii (którego wymienia Pliniusz) — posąg młodego chłopca usobajającego geniusza gier sportowych Agona, popiersie Dionizosa, olbrzymie wazy marmurowe, służące do ozdabiania parków publicznych, grupę nagich tancerzy i tysiące uroczych małych posągów.

Imperium Rzymskie, które panowało nad Afryką przez przeszło pół tysiąca lat, pozostawiło niezliczone ślady swojej kultury. Żyjące w nadzwyczajnym dobrobycie miasta, nawet najmniejsze, mogły zaopatrzyć się we wspaniałe pomniki, z których nieliczne tylko przetrwały do naszych czasów. Setki płaskorzeźb i posągów zostały znalezione w ruinach dawnych miast. Mimo to jednak rzeźba rzymsko-afrykańska pozostaje sztuką przeciętną w porównaniu z mozaikami, którymi zdobione były ściany bogatszych domów i term.



Maska z wypalanej gliny

Najstarsza mozaika afrykańska pochodzi z II w. p. n. Chr. Noszą one ślady wpływów malarstwa greckiego, tematy czerpią z mitologii, naciąg położony jest na ciało ludzkie nieruchome lub w ruchu. Począwszy od III w. tradycje pracowni klasycznych wychodzą z mody a wraz z nimi dokładność anatomiczna i zamiłowanie do tematów literackich. Mozaiki przedstawiają w postaciach hierarchicznych bogów opiekuńczych ludzkości szafarzy powodzenia i szczęścia: Venus, Bachusa. Z ostatnich lat panowania dynastii Sewerów (220 — 230) pochodzi mozaika przedstawiająca boginię miłości, naga, z kwiatem w dłoni, w otoczeniu dwóch kobiet-centurionów, która przynosi szczęście zaprzęgowi wyścigowemu składającemu się z czterech koni o imionach: Polvstephanus, Archeus, Amazonius i Titonius. Druga połowa III w. jest okresem zamieszek: walki domowe, najeźdy i powstania niewolników zwiastują zbliżający się koniec imperium. Sztuka tego okresu wyraża niepokój panujący w społeczeństwie, które uwikłane w sprzeczność swej epoki szuka ucieczki w mistycyzmie. Charakterystyczny dla sztuki tego schyłkowego okresu jest posąg starca wtajemniczonego w misteria Demeter promieniujące z Eleuzis na cały świat śródziemnomorski.

Odrębną rolę w tym okresie zajmuje sztuka chrześcijańska, która zjawia się wraz z nową religią. Ciekawe jest, że właśnie w Tunisie chrześcijaństwo zyskało swoich pierwszych wyznawców i miał swoich pierwszych męczenników. Na początku IV w. wraz z przyjęciem przez cesarza Konstantyna religii chrześcijańskiej Afryka będąca wówczas częścią składową Imperium Rzymskiego pokrywa się bazylikami, które są ośrodkami rozprzestrzeniania się nowego stylu w sztuce, przede wszystkim słynnych mozaik bizantyjskich. Równie interesująca jest sztuka nagrobkowa — na grobach spotyka się wyrzeźbione epitafia

i symbole zapożyczone z repertuaru pogańskiego, ale interpretowane według nowych dogmatów; symbolami tymi są: czary, z których ptaki piją wodę, róże, kosze obfitości, i in. oraz czające radości raj. Crux gammata — znak Chrystusa oraz korona są emblematem zwycięstwa nad śmiercią i nad demonami.

Wycarzenia następnych dwóch wieków po okresie świetności i rozkwitu Afryki Rzymskiej — inwazja Wandalów, której jedynymi śladami w sztuce Tunisu są epitafia nagrobkowe o nazwiskach germańskich, oraz podbój Afryki Północnej przez Bizancjum — mało sprzyjają rozwojowi twórczości artystycznej.

Z nadejściem jednak muzułmanów (koniec VII w. i VIII w.) następuje odrodzenie i rozkwit wszystkich gałęzi sztuki. Spośród krajów Afryki Północnej Tunis ma największe prawo szczycić się posiadaniem zabytków pochodzących z pierwszych wieków ekspansji arabskiej w Maghrebie¹⁾. Epoka muzułmańska była jedną z najdłuższych i najbardziej płodnych w historii Tunisu tak w dziedzinie abstrakcyjnej, jak i życia materialnego. Ona to stworzyła większość głównych miast Tunisu, że wymienię tylko: Kairuan, Sfax, Monastir, Mahdia. Budowle arabskie w Tunisie stanowią model dla całej architektury arabskiej w Afryce Północnej i w Hiszpanii. Znany historyk francuski, znawca zagadnień afrykańskich, George Marçais pisze: „Pierwsze na Zachodzie dzieło sztuki arabskiej, wielki meczet w Kairuanie należy do najpiękniejszych zabytków Islamu. Urzeka swoim nieco surowym majestatem i dyskretną wspaniałością”. Kwadratowy minaret, tak charakterystyczny dla meczetów maghrebskich i andaluzyjskich, wywodzi się właśnie z Tunisu. Cała kultura ifrykijska tj. arabska (nauki ścisłe, prawo, literatura) cieszyła się, co najmniej do XI w., wielkim autorytetem w krajach Maghrebu, w Hiszpanii i na Sycylii. Tunis jest dla Arabów nie tylko etapem na drodze do dalszych podbojów, ale staje się ośrodkiem życia intelektualnego świata muzułmańskiego. Należy jednak pamiętać, że muzułmanie to nie architekt jak Rzymianie, ale mistrzowie sztuki dekoracyjnej. Konstrukcja jest dla nich tylko środkiem, celem jest ornament. Muzułmanie wznoszą pospiesznie mury, by przez miesiące całe, a nawet lata zdobić je troskliwie. Gdy w świętym mieście Kairuanie potrzeba kolumn, fundamentów i kapiteł, muzułmanie uważają za prostsze „pożyczyć” je z ruin rzymskich niż wybudować same. Sztuka dekoracyjna muzułmańska jest bardzo urozmaicona i różnorodna zależnie od rejonów i epok. Cechą wspólną jest niemalże zupełny brak sylwetek ludzkich i zwierzęcych. Spotyka się je tyl-

napisem kufickim²⁾, nagrobki pierwszych książąt Tunisu i in.

W sztuce Tunisu znajdują odbicie także późniejsze wpływy perskie (umiejtność wykładania ścian wspaniałymi kafelkami i malarstwo dekoracyjne), tureckie (kompozycje białoczarne ornamentów zewnętrznych i wewnętrznych) oraz francuskie.

Muzeum ma również dział etnografii, dział numizmatyki, który zawiera niemal kompletny zbiór monet wybitych w imieniu różnych suzerenów od wkroczenia Sidj Okba



Głowa Berbera

do Ifrikiyi aż do beyów Husseini-dów oraz dział poświęcony sztuce ludowej Tunisu nowożytnego i współczesnego. Najbardziej interesująca jest tu sztuka wykładania ścian kafelkami, począwszy od prototypów anatolskich, marokańskich i europejskich a skończywszy na wielkich kompozycjach z Tunisu i Nabeul pochodzących z XVIII w. i XIX w. Muzeum ma także arcydzieła sławnego Kairuanu i całego Południa, wspaniałe bogate dywany „mergoum” i „klm”, koronki „chebka” i stare kryształowe fabrykowane ongiś w okolicach Kairuanu. W muzeum znajdujemy także piękne okazy sztuki rękodzielniczej, obecnie całkowicie zarzuconej, jak i liternetwo zdobnicze, rytownictwo, introligatorstwo.

Prace wykopaliskowe przeprowadzane na tych terenach przynoszą za każdym razem bogaty plon. Między innymi niedawno wykopaliska w Kartaginie wzbogaciły zbiory muzeum o arcydzieło pierwszorzędnej wagi: posąg w marmurze z II w. p. n. Chr. przedstawiający Berbera, jeńca legionistów rzymskich.

Posąg ten, w którym twórca — rzeźbiarz grecko-rzymski uwiecznił cechy etniczne rasy afrykańskiej, może służyć jako symbol kultury tu-



Portret Wergiliusza (mozaika) odnaleziony w Suzie

ko w szkole perskiej (dywany, majoliki, miniatury) obfitującej w motywy dekoracyjne w postaci drzew, liści, winnej latorośli, palm, zwierząt i ludzi. Muzeum w Bardo posiada wiele pięknych eksponatów z okresu panowania Arabów w Tunisie, na przykład lampę z meczetu im. emira Siyadet Allaha, ciekawą płaskorzeźbę fatimidzką wyobrażającą króla i flecistkę, grobowiec z

niskiej będącej od trzech tysięcy lat syntezą wkładów kultur zachodnich i wschodnich.

Danuta Paszkiewicz

¹⁾ Nazwa arabska dla terytorium od Maroka do Trypolitanii.

²⁾ Pismo kufickie, jedna z najstarszych form pisma arabskiego nazwana od miasta Kufa w Iraku (gdzie ona być pochowany Adam) i wprowadzona tuż przed Mahometem. W II w. po nim używana już tylko do spisywania Koranu i do napisów.



Wielka bogini o głowie iwa

Jan ŻABIŃSKI

rys. Marian WALENTYNOWICZ

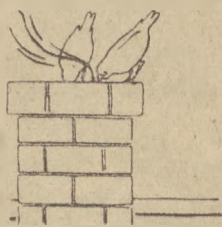
O B C O K R A J O W I E C

OSTATNIO opracowywałem zbiór zagadek biologicznych i w tym stopniu nastawiłem swój umysł na różnego typu zadania, że nawet nie potrafię zacząć pisać zadnego typu opowiadania, żeby przy tym nie zadawać czytelnikom jakichś pytań. Ot i teraz myślę sobie na przykład: gdyby was tak za gadnąć, jaki jest najpospolitszy, najbardziej przystosowany do warunków klimatycznych naszego kraju ptak, wszyscy jednym głosem wykrzyknęliby oczywiście: „Wróbel!” A tymczasem wcale tak nie jest...

Świetny temat do zagadki — gdyż prawie u każdego człowieka w Polsce takie postawienie sprawy wywoła co najmniej niedowierzanie i zdziwienie.

Jakże bowiem można kwestionować, że wróbel jest u nas pospolitym tubylcem — widuje się go przecież wszędzie, na każdym kroku. Jak można twierdzić, że nie jest przystosowany, kiedy on właśnie nie ma jako jedynego gatunku ptasi nie oddala się nawet na kilka tygodni od swych miejsc legowych, pozostając u nas przez całą zimę.

Niewątpliwie większość ludzi żywi tak oczywiste przekonanie o słuszności swych poglądów w jakiegokolwiek bądź dziedzinie, że zdarza się często, iż ktoś upiera się i zacietrzewia w dyskusji, nie podając na poparcie swego zdania żadnych rzeczowych motywów. Przyrodnik jednak musi unikać tego rodzaju kompromitujących wystąpień. Jak się już coś powiedziało, trzeba umieć tego dowieść, a przynajmniej poprzeć swój pogląd choć kilkoma przekonującymi argumentami, i to tym bardziej wówczas, gdy to co



się twierdziło, wygląda — jak w danym przypadku — tak niezwykle nieprawdopodobnie i jest sprzeczne z tym, co wszyscy stale widzą.

Żeby jednak podejść do sprawy gruntownie, spróbujmy najpierw określić, co to jest klimat danego kraju i czy jest on — choćby u nas — wszędzie jednakowy, czy też nie.

— No, co do tego nie będzie chyba różnicy zdań. Oczywiście nieco inny klimat panuje w górach niż nad morzem, inny w wielkich lasach, a inny na równinach Mazowsza, itd.

Zgoda, tylko że to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą, każdy gatunek zwierzęcy bowiem ma swoje ulubione środowisko i trzyma się raczej takich miejscowości, gdzie mu jest dobrze, a innych unikną. Toż jeśli karp wyłowiony z Wisły i porzucony na brzegu zdechnie, nie może na dobrą sprawę twierdzić, iż stało się to z przyczyny złego przystosowania tej ryby do naszego klimatu.

— To jest oczywiste!

Nie o to mi jednak chodziło. Bądźcie łaskawi teraz odpowiedzieć, czy gatunek takiego ssaka, jak człowiek, biologicznie jest przystosowany do klimatu Polski?

Podejrzewam, że mniej rozważni odkrykną przedko:

— Z całą pewnością, tak!

Natomiast większość czytelników pokręci głową i po zastanowieniu zdecyduje:

— Człowiek nie jest tu dobrym porównaniem.

Jeśli by go traktować ściśle, tak jak traktujemy w takich razach zwierzęta, to oczywiście nie jest. Człowiek przy swojej ubogiej pokrywce włosowej, pozbawiony ubrań, a przede wszystkim ognia i domostw, niewątpliwie nie wytrzymałby jednak — nawet tak lekkiej jak ostatnia — zimy klimatu umiarkowanego. Nie jest on właściwym przykładem w dodatku i dlatego, że dzięki swej inteligencji oraz dzięki pracy rąk potrafi już dziś na każdym miejscu kuli ziemskiej uniezależnić się od miejscowych warunków, stwarzając tam gdzie się osiedli, swój własny, właściwy dla siebie mikroklimat.

Bo proszę pomyśleć tylko. Przecież my tak naprawdę w ciągu zimy zaledwie na króciutko stykamy się z mrozem, śniegiem czy wichurą, przeważnie zaś siedzimy w autobusie, tramwaju, ciepłym biurze lub wreszcie w ogrzewanym mieszkaniu, gdzie „klimat” jest już zupełnie inny aniżeli tuż tuż, poza oknem.

Człowiek jest twórcą i stałym chronicielem wokół siebie takiego klimatu, jaki jest dlań najpożądalszy.

Nieprzeżenie — jak się za chwilę okaże — doszliśmy do jądra interesującego nas zagadnienia, gdyż to samo co człowiek, tylko oczywiście w o wiele mniejszej skali, robią niektóre zwierzęta. Niedźwiedź gotujący sobie barłóg na zimę, wiewiórka wijąca gniazdo, suszył kopiący norę — choć na pewien okres chcą stworzyć dla siebie inny klimat niż panujący w istocie w danej porze roku.

A teraz proszę powiedzieć, co uczyni żaba zaskoczona przez ciepłe promienie słońca gdzieś na łące, kiedy poczuje w niewielkiej odległości kałużę czy stawek? — Podąży tam niewątpliwie. — Jeleń, choć pasł się gdzieś na oziminach, za łada niebezpieczeństwem popędzi do lasu. Rozbitek z okrętu będzie się starał ratować płynąc ku najbliższej wyspie, a z pewnością nie na pełne morze.

Jeśli więc człowiek potrafił w niektórych okolicach o klimacie chłodnym lub umiarkowanym stworzyć ośrodki mikroklimatyczne zbliżone do okolic podzwrotnikowych, gdzie i w lecie jest ciepło i w zimie można znaleźć szereg miejsc o temperaturze nie spadającej poniżej plus 15 stopni, to dlaczegoż by nie miały z tych jakby ciepłych wyspек korzystać co drobniejsze zwierzęta, pochodzące właśnie z klimatu podzwrotnikowego.

Karaluch, mucha domowa, są to właśnie takie istoty nie opuszczające człowieka, między innymi z tych powodów, dla których Robinson Kruzoe nie porzucił swojej wyspy, nawet wtedy, gdy był już w posiadaniu zbudowanej własnym przemyśłem łodzi. On też nie mógł się zdecydować wypuścić na nie sprzyjające bezmiary oceanu, jak mucha czy karaluch nie puszcza się zdala od człowieka w bezmiary nie sprzyjające, zbyt chłodnego dla nich klimatu.

— Ale w czym to się wiąże z naszym tematem? Mucha i karaluch rzeczywiście przebywają w naszych domach, ale wróbel? Wróbel jest ciągle na dworze, nie korzysta z ciepła naszych izb. To już raczej jaskółka, która zresztą odlatuje od nas na zimę, gotowa jest zagnieździć się w stajni lub oborze... Nie, to nie jest przekonujące.

Ha, w takim razie zmuszony jestem przytaczać dowody punkt po punkcie.

Poruszono sprawę gnieźdzenia się więc przede wszystkim proszę przyjąć pod uwagę, że nasz wróbel domowy gnieździ się co prawda w rozmaitych miejscach: i w strzesze chaty, i w brogu słomy, i w starym gnieździe jaskółki, i w budce zawieszanej dla szpaka względnie sikory (jeśli w takowej zrobiono zbyt duży otwór), przyczepia swoje budowle pod gniazdem bociana, a bywały przypadki — c ironio! — że wychowywał młode w rekawie czy kieszeni stracha na wróble, ale nigdy nie dalej niż o pięćset metrów od siedzib ludzkich, i to siedzib zamieszkałych i zagospodarowanych. W samotnych leśniczówkach czy pojedynczych willach podgórskich wróble nie spotkacie.



A teraz druga sprawa. My, mieszkańcy miast, obserwujący te ptaki głównie zimą (gdyż na wiosnę po prostu nie zwraca się uwagi na tego pospolitego) uważamy, że sukcesem ich jest brudnoszara, niekiedy nawet upierająca się, iż widywali nieraz wróble czarne jak kruk. Wiem o tym dobrze, gdyż wiele razy pytało mnie o to, lub donoszono, niby o jakiejś osobliwości. Otóż wtrącając tu nawiązującą uwagę, iż wyjątkowo rzeczywiście mogły się urodzić wróble czarne albo całkowicie białe, albowiem zjawiska melanizmu czyli nadmiaru barwnika, lub albinizmu — jego braku, trafiają się w różnych gatunkach zwierząt, a więc możliwe są i u naszego bohatera, tylko że te wasze czarne wróble to nie „wróble-murzynki”, tylko „wróble-kominarze”. Kominarze w znaczeniu dosłownym, bo po prostu umorusane sadzami. Oto wróbel nie jest w stanie wytrzymać nawet niewielkich mrozów naszego kraju.

Już jesienią, kiedy się zaczyna pierwej chłody, nasze ptaki wiosennie — letnie odlatujące na jesień (jak się powszechnie a mylnie uważa, z obawy przed zimnem) skaczą jeszcze i ćwierkają wesoło, a wróbel już siedzi naburmuszony jak puchata kulka. Nastroszył swą ciepłą „pierzynkę” i boi się poruszyć, aby — jak pięknie mówi Dygasiński — „nie wpuścić pod pachy chłodu”. Zmarzłucha poznać w nim na oko.

— Czemuż więc nie odlatuje? — zapytacie.



O, to wcale nie taka prosta sprawa. To właśnie dowodzi, że jest południowcem, który za człowiekiem zawędrował na północ i który trzyma się tutaj przy nim w ciepłych kątach. Przeciwnie zaś rzecz się ma z ptakami tubylcami okolic chłodniejszych; to one właśnie w ciągu tysięcy lat wyrobiły sobie umiejętność odbywania podróży zimowych, na południe uciekając nie tyle przed zimnem, co przed brakiem pokarmu. Nie należy więc przypuszczać, że nasz wróbel tak z dnia na dzień lub z roku na rok mógłby sobie wyrobić podobne przystosowanie. Trudno się bawić w przepowiednie, szczególnie na parę tysięcy lat naprzód, ale może w tej dalekiej przyszłości będzie on już należał do ptaków przelotnych, albowiem (a o tym nie powinno się ani na chwilę zapominać) nie tylko niegdyś, ale i obecnie zachodzą procesy przystosowawcze, które przekształcają zwyczajnie a nawet wygląd zwierząt i roślin, chociaż dostrzegalne stają się to dopiero po wielu, wielu latach...

Tymczasem więc nieszczęsnym wróbel chroniąc się przed chłodem wchodzi do kominów, do starych gniazd, weiska się w każdą szczelinę poddasza — jednym słowem ukrywa się wszędzie, gdzie może znaleźć choć odrobinę ciepła, a kiedy mu się to nie uda, już jeden kilkustopniowy nocny chłód pozbawia go życia. A sikory i dwudziestostopniowe mrzy przemykają na gałązkach i jakoś dają sobie radę, pozostając przy życiu.

Jeśli i to was jeszcze nie przekonało, to zechciejcie przyjąć do wiadomości, iż na obcoplemienność wróbla wskazuje i to, że choć należy on do rozpowszechnionej po całym świecie rodziny ziębowatych, to bliskich kuzynów w Polsce zupełnie nie ma, natomiast jest ich dość dużo, ale... w południowej Azji.

Wreszcie powróćmy jeszcze do sprawy gniazda. Aczkolwiek ten awanturczy ptak często rabuje wytwór jaskółki czy innych ptaszków, jednak zawsze nieco przypasowuje te cudze budowle na swój sposób. Jeśli zaś zdarzy mu się mieć własne gniazdo na drzewie, to zwykle wysoko, nigdy niżej trzech metrów, przy czym wygląda ono jak spory kłak śmieci. Czego tam nie ma! I szmatki, i sznurki, i słoma, i źdźbła siano — wszystko nieporządnie przepiecione, można by przypuszczać, iż to po prostu naniósł wiatr. Tymczasem gdy się przypatrzemy z bliska, zobaczymy, że ten niechlujny wytwór ma dziurkę wejściową z boku, a w środku jak się okaże „umiełbowany” jest bardzo starannie, a mianowicie wysłany mięciutko i to wyłącznie piórkami.

Czyż to jest wygląd gniazda, jakie typowo budują nasze krajowe ptaki, czyli mniej lub więcej zagłębionej, otwartej miseczki?

— Niewątpliwie nie.

Natomiast ptaki podzwrotnikowe przeważnie konstruują gniazda właśnie tak, aby był i daszek i ściany — jednym słowem całkiem na wzór zamkniętej torebki.

— No dobrze, wróbel tak buduje na pewno ze względu na swą zmarzłuchowatość, ale skąd tam na południu takie zwyczaje?

O drogi czytelniku, trafieś jak kulą w plot. Pierwszy łąg wróbla zaczyna się w końcu kwietnia i trwa do połowy maja — w tym czasie nie ma chwały mrozów, ta bujowa więc jest w naszych warunkach bezsensowna i można ją tłumaczyć tylko jako pozostałość po jego południowych nawiązkach. Tam zaś powstały te zwyczaje ptasie wcale nie ze względu na chłód, a przeciwnie — na słońce, słońce, które my w naszym klimacie nazywamy życio-

dajnym, a tam jest ono śmiercionośne dla małych ptaszków, które były choć w ciągu kwadransa wystawione na jego palące promienie.

No, sądzę, wywiązałem się jako tako z zadania i dość dowodów dostarczyłem na poparcie obcoplemienności naszego pospolitego wróbla. Może to nie wszystkim i nie całkowicie przekonało, ale nikt już przynajmniej nie powie, że moje twierdzenia były gołosłowne.

Obawiam się tylko ze strony co dowcipniejszych przeciwników mego poglądu takiego jeszcze zarzutu:

— No dobrze, może i rzeczywiście wróbel stosunkowo nie tak dawno przybył z południa i zaaklimatyzował się przy człowieku, ale w takim razie dlaczego tylko on, dlaczego całe ptactwo południowe nie obsiada naszych okien, nie gnieździ się w naszych strzechach? Czyżby wróbel pod jakimś względem był lepszy od innych?

A oczywiście, że jest „lepszy”, tylko już w zupełnie innej dziedzinie. Gdybyśmy w różnych chłodnych miejscach ziemi potworzyli ciepłe, ogrzewane rezerwaty, być może, iż niejedyn jeszcze gatunek ptaków południowych zamieszkałby w nich na stałe, ale nie zapomnijmy, że ten mikroklimat, który wybrał sobie wróbel, jest stworzony przez człowieka dla siebie samego, czyli inaczej mówiąc chcąc się w nim osiedlić wróbel musiał się zdecydować na jak najbliższe sąsiedztwo z ludźmi, a dziko żyjące zwierzęta w przeważającej większości tego bardzo nie lubią.

Człowiek dla żadnego z nich nie jest towarzyszem zbyt bezpiecznym. To dopiero kwestia ostatniej setki lat, kiedy opanował on przyrodę w tym stopniu, iż zaczyna nią gospodarować światłomnie i planowo, a nie tylko eksploatację ją i niszczyć, a przede wszystkim zabija na prawo i na lewo, co pod rękę popadnie.

Wróbel tylko dlatego mógł wytrzymać tak bliskie sąsiedztwo z podobnym sąsiadem, że jest ptakiem bardzo ostrożnym, spstrzegawczym i nieufnym. Z tych powodów wróble łapią się w pułapki stosunkowo trudniej niż inne ptaki. Pamiętają one świetnie dziurę czy właz, jakimi dostały się do danego pomieszczenia. Spróbujcie wejść na strych, gdzie przed zimnem ukryła się gromadka tych ptaszków. Ledwie się tylko wasza głowa pokaże, wszystkie „jak jeden mąż” furkną do jednej szczeliny, jaka tam gdzieś była w nadłucznej dachówce.



Wróble są silne w stosunku do swej wielkości i zawiadackie, przyjmują więc walkę nawet z większymi ptakami.

Pełne szczelin, zakamarków, kup chrustu czy sągów drzewa osiedla ludzkie odpowiadają im znakomicie, gdyż wróble są słabymi lotnikami, ale za to jak szczur czy mysz — tak szybko poruszają się po ziemi swymi zabawnymi i podrygującymi skokami, a zaszyć się i przycupnąć w byle szczelinie umieją nie gorzej od tych gryzoni.

Są w dodatku wszystkożerne, z przewagą jednak nasion, o które najłatwiej przy domostwach ludzkich, w ostateczności bowiem wybrać je sobie mogą niedotrąwione nawet z kału zwierząt domowych. Toteż, przynajmniej w miastach, kłęską jest dla nich żywiołowy rozwój matorzacji.

Sentyment do tych ptaków charakteryzuje też tylko mieszczuchów. Dla rolnika bowiem wróble to prawdziwa plaga, gdyż one są przyczyną, że w pobliżu zabudowań nie udają się zupełnie plantacje soneczników czy maku, a pszenicy doświadczone gospodarz nie sieje tuż za obejściem, gdyż często zbierze wówczas zaledwie połowę plonu. O niszczeniu wiśni czy czereśni nie ma nawet co przypominać.

Miłośnikom ptaków zaś, którzy może rozzwierają szaty, iż tak oskarżam „niewinna ptaszynę”, odpowiem, że wróbel właśnie jest przyczyną, że tak mało p.z. osiedlach ludzkich jest przytępczonych, bo owadźnych ptaków spiewających, albowiem bije je, i nie tylko i zabiera im gniazda.

Tryptyk Narodzenia Pańskiego

(Dokończenie ze str. 3)

Zwiastowaniu wypełniał jej życie. To oni podczas świętej Nocy wskazywali pasterczom drogę do grotty i w głębi tych samych ciemności przyrzekli pokój na ziemi ludziom dobrej woli... Ale od czasu powrotu do Nazaretu niebo zamknęło się, aniłowicie zniknęli. Rozpoczęły się dni niepokoju, zwątpienia i udręki, czy Zwiastowanie było tylko snem.

Istnieje Madonna flamandzkiego malarza Quentina Metsysa, znajdująca się w Louwrze, która zdaje się wyrażać ten nastrój. Ta młoda i uroczą kobieta o twarzy łagodnej, zlekka „leonardowskiej”, trzymająca na rękach chłopczyka o krecących się jak u murzynka włosach, spogląda na nie jednak ze smutkiem. Najbardziej nawet promień uśmiechu nie błąka się na jej twarzy. Przyciska ją do siebie jak gdyby w niejasno zresztą wyrażonej obawie, że je utraci. Za nią wnetrze przeciętne, mieszczchańskiego mieszkanka, a za oknem miasto zstępuje z góry po zboczu nad brzeg licznych lśniących lazurem kanałów. To przecież Quentin Metsys który:

„Fiolet mgieł polskich i florenckich wzgórzy
Układa w fałdy flamandzkie i frendzle
Zielone whija w oczy jak ustawy
Prawdy. Granice znaczący jedwabiem:
Niebo i światło...” *

Na obrazie Quentina Metsysa od Madonny istotnie odleciały anioły pozostawiając ją ludzkiemu smutkowi. Zresztą, gdyby nawet pozostały to i tak upodobniłyby się do ludzkich istot, którym skrzydła zawadzają w poruszaniu się w ciasnych wnętrzach domostw i wąskich uliczkach Anvers. Na dziwnych obrazach Quentina Metsysa w delikatny sposób zatarł się przedział między niebem a ziemią.

„Jeżeli granica
Jest między niebem a ziemią, jeżeli
Anieli mniejsi od ludzi i lżejsi
Zieleni i podobni do wielkich
szarańczy
Tańczą weselsze tańce i jedzą
owoce.”

U Giovanni Belliniego Madonny za chowały jeszcze złote kółko nad głową, którego u Metsysa już nie ma. Ale i one wyrażają smutek, jak gdyby cień przeczucia gasił zwykły zawyczaj uśmiech matki do swego dziecka. Wśród szeregu Madonn Belliniego znajdujemy jedną z nich, z galerii Borgiów w Rzymie, u której wyraz ten staje się aż nadto wyraźny. To już nie melancholia, a cierpienie tworzy na tej młodej, choć nieładnej twarzy bolesną fałdę. I tak zakończenie dramatu Narodzenia stało się jednocześnie zapowiedzią nowego. Tak, jak poranek zapowiada zmierzch, a zmierzch prowadzi za sobą noc.

ZAMKNIĘCIE

W wielkim sporze filozofów na temat dróg poznania — Pascal wypowiedział się, że Boga i całą rzeczywistość nadprzyrodzoną, niewidzialną rozpiętą nad człowiekiem jak nieboskłon można poznać tylko „sercem”. Wprowadzając ten banalny zdawałoby się termin chodziło mu, że poznać ich nie można na odległość, na drodze ziemnych spekulacji abstrakcyjnych. Trzeba przylgnąć do nich, przeżyć je. Ta droga poszła niewątpliwie artyści. Prawda ich odkryć nie leży w scenarii, w szczegółach, które są przeważnie fałszywe, ale w odkryciu myśli, sensu zjawiska. Dlatego drażnią Piety namalowane dla studium ciała, puste Madonny i ekliwie stajenki, w których chodziło wyłącznie o sprawy światła i barw. Ale powróci się zawsze do „nieprawdziwego” Zwiastowania Fra Angelica, do wstępującego Narodzenia El Greca, do smutnej Madonny Quentina Metsysa. Gdzieś pomiędzy kolorem, formą, światłem, a wyrazem psychicznym kryje się prawda ich świata.

Konrad Eberhardt

*) Jarosław Iwaszkiewicz „Quentin Metsys”.

.arol KOŹMIŃSKI

Lud w dziełach Matejki

JEDNA z dam polskich, księżna Marcelina Czartoryska, oglądając w obecności Matejki jego obraz Zmartwychwstanie, na widok nieco przyciężkich, namalowanych tam po staci odważyła się powiedzieć: „Mi-

l rycerze, jak głoszą to wówczas, że tworzył ją „także” (nie mógł przecie Matejko w owym czasie mówić: „tylko”) lud. Zapewne, ma rację Kazimierz Wyka, twierdząc, że „chłopów

nie panów i rycerzy! Wprowadza go w dostojne zgromadzenie, przed króla i senatorów, Andrzej Frycz Modrzewski. Ale wprowadza go na prawą stronę obrazu i na miejsce „protokólnie” bardzo wysokie: tuż obok miejsca, na którym stoi Anna Jagiellonka.

Zapewne, w Unii występuje jeden tylko chłop. Ale już w „Dzwonie Zygmunta” (1874) jest ich cała gromada. I oni to są bohaterami obrazu, aktorami sceny, której król i pa nowie przyglądają się tylko. Pamiętamy zapewne wszyscy ten niewielki obraz malowany miniaturową niemal techniką o pogodnym, pełnym słońca kolorystyce. Triumf odrodzenia polskiego. Jaką rolę grają tu król i magnaci, jaką rolę gra lud? Oto grupa panów z królem po lewej stronie obrazu i nieco w głębi. To statysci. Królowa siedzi, tak, ale większość panów, a sam król stoją. Patrzą z podziwem? Nie, z szacunkiem, na to, co robi lud. Lud mlejski i wiejski zajmuje plan pierwszy i całą prawą stronę obrazu. W obrzymim trudzie ramion i ledźwi, w twardym wysiłku mięśni, ludzie prosił, robotnicy i chłopci ciągną, wyrrywając z łona ziemi złoty skarb odrodzenia polskiego — dzwon, który tu znów jest symbolem. Windują go wysoko, by zabrzmiał na cały świat. Patrzymy. Robotnicy aż przysiadają z wysiłku. Jeden z chłopów — w maglerze krakowskiej na głowie, w czapie takiej, jaką Wojciech Bartosz pod Raclawicami nakryje zapal czą armaty. Tych chłopów zajętych wokół złotego dzwonu pełno, a z nich wylazł aż na szczyt drewnianego rusztowania bo tak było potrzeba; jest to najwyższą na obrazie tym umieszczoną postać ludzka. Stoi wyżej niż król, niż orzeł — herb państwa nad tronem królewskim!..

I już całe mnóstwo ludu walczy w „Grunwaldzie”. (1875). Walczą pieszo, nie tak, jak rycerze dosiadający rumaków. Są to czasy, o których poetka mówi, że „najtężej biją króle, a najgęściej leżą chłopci.” Chłopi więc w walce zajmują cały pierwszy plan i całą szerokość obrazu. Rycerstwo zakute jest w stal. Chłopi ledwie są odziani, pierś niektórych jest naga. W obronie ojczyzny nie sięgną po tarczę. Sami są tarczami. Jak ten młody chłopiec, który z łukiem w ręku biegnie od lewej strony obrazu, jak ci, którzy na zeby i pazury walczą już pokotem. Ale rola ich jest nie byle jaka: jeden z nich potężnym toporem wali w staniającego się już na siodle Wielkiego Mistrza, drugi o nagiej pierśi, godzi w niego oszczepem. Niejeden z chłopów już jest ranny, mimo to walczy dalej, jak ów kopijnik: z głową obwiązaną w szmatę skrwawioną walczy na śmierć i życie u stóp Zawiszy Czarnego a obok Żyżki. Ileż wiary w zwycięstwo w jego pionącym zapale oku! Lud ten w krwawym znoju w ciżbie straszliwej przetacza się, aż ku prawej stronie obrazu, ku miejscu gdzie król, który tu „nie występuje”, jak — „nie występował” w istocie.

I już triumfator w pełni, bohaterem zwycięskim jest lud w „Ra-

clawicach” (1888). To prawda, można mieć wszystkie zastrzeżenia do tego obrazu: jest jednym ze słabszych wielkich płócien Matejki. Jedno jest pewne: lud gra tu rolę główną.

Witkiewicz mocno krytykuje ten obraz. Ale i usprawiedliwia artystę, gdy mówi, iż „Raclawice są jedną z najsłabszych kart” jego twórczości. Dlaczego? Oto zdaniem Witkiewicza... „dla malarza całej tej rasy ludzi o orlich i sępih nosach, rasy dumnej hardej, wstrząsanej głębokimi namiętnościami, rasy wybitnych egoizmów indywidualnych, ryjących się głębokimi brudami w ich twarzach — Kościuszkę, bohatera całkiem nowego typu fizycznego, z jego zadartym nosem, z jego demokratyczną ideą, z jego rozważnym temperamentem i uczuciością i z jego walką, w której wystąpiły nowe siły, siły przyszłości — Kościuszkę, którego los zesiał jakby tylko

Rycerstwo konne w historii nie porwóci więcej.

I ta, na sztorc osadzona kosa wystąpi w ręku chłopca raz jeszcze, na ostatnim obrazie Matejki. W „Ślubach Jana Kazimierza” (1893) W tym niedokończonym, przedśmiertnym dziele talent mistrza zabłysnął: „Raclawicach” i „Trzecim Maja” (1891) z nową, czy może z dawną, z czasów „Unii”, czy „Skargi” siłą. Tym razem na obrazie znów jak w „Unii” chłop jest tylko jeden. Ale już nie ten nieśmiały, bezbronny, prowadzony przez Frycza, jak dziecko niemal spod samej ramy płótna. Nie. Zajmuje środek obrazu. Tuż za kłęczącą przed ołtarzem parą królewską, obok Czarnieckiego, pod którym walczył swą chłopską bronią.

Ostrze wzniesionej w górę kosi sięga wysoko. Przecina obraz na dwoje, dzieląc chorągiew z godłem państwa — od tronu, którego się



strzu, to nie są duchy, ale ciała”. na co mistrz odrzekł: „Ja nie maluję duchów, tylko ciała”. Powiedział to z taką samą siłą przekonania, jak gdy mówił, iż „po swoltemu maluję historię.” Był wielkim, ostatnim z plejady w XIX malarzem historycznym i wielkim realistą. Malarzem ludzi.

Zapewne, jego pierwsze prace z okresu krakowskiego, takie jak „Carowie Szujscy” czy „Wjazd Henryka Walejusza do Krakowa” (1854) lub „Karol Gustaw na Wawelu” i „Zygmunt nadający szlachectwo profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego” (1858) to jeszcze chłodne, akademickie prace o konwencjonalnych realiach, zdradzające wyraźny wpływ nauczycieli, Stattlera, Łuszczkiewicza. Ale w r. 1858 Matejko wyjeżdża do Monachium i do Wiednia poznaje malarstwo europejskie, a przede wszystkim francuskie. „Od krywa” Delaroché’a i sztukę jego obiera sobie za wzór. W liście do przyjaciela S. Giebułtowskiego z dn. 8.III.1859 tak pisze „Delaroché kotęgum to lepiej poznał ze sztuchów i fotografii jest to, czego moja dusza pragnie do czego wszystkie siły wyteżam, nie wiem czy Bóg pozwoli może nazbyt wielkie żądania, może tego do zarozumienia, by dobieść do tego, do czego doszedł wielki mistrz Francji...”

Trudno o większą skromność. Ale Matejko był człowiekiem wielkiej własnie skromności. Wpływ Delaroché’a na twórczość? Raczej chyba niewielki. Mówia o nim po części: „Otrućcie Bony” (1860), „Jan Kazimierz na Bielanych” (1861), „Jan Kochanowski nad zwłokami Urszuli” (1862), mówi „może najsilniej „Stańczyk” (1862). Ale w obrazie tym też z siłą prawdziwego realisty przemówi sam Matejko. Dziełem tym wytknie niejako drogę dla swych przyszłych prac to tego, jak „po swojemu” malować będzie historię Polski.

Jako malarz historyczny poczawszy od „Skargi”, który to obraz przynosi mu złoty medal z Pararyza, był do pewnego stopnia malarzem historii oficjalnej. Musiał się też do pewnego stopnia liczyć i z ówczesnymi „zamówieniami społecznymi” i z „gustami” publiczności. Ale potrafił też walczyć o swoje. Gdy „Rejtanem” obrzwał przeciw sobie kołtuństwo, że „szarga świętości narodowe”, że obraz ten winien zakupić carat jako obraz „przeciw Polsce”, potrafił powiedzieć: „kupili żywych, mogą kupić malowanych”. Malując zaś historię rozumiał dobrze iż historię tworzyli nie tylko królowie

jego obrazach — z wyjątkiem „Kościuszki pod Raclawicami” — powiedzieć można na palcach. Tak. Obrazów takich jest niewiele. Nie o to chodzi. Chodzi o to, jaką rolę grają chłopci w tch obrazach, na których Matejko ich umieścił.

Należy podkreślić przede wszystkim, iż Matejko w obrazach swych był symbolistą. W jego sposobie wypowiadania się ważny jest każdy szczegół obrazu: akcesoria, umiejscowienie danej postaci, jej ruch, gest. Ważny jest więc w „Rejtanie” dukat u stóp Ponińskiego. Zegarek w reku króla, który niecierpliwi się: chciałby, żeby nie miała mu scena za kończyła się szybciej. Ważny jest fakt, iż król grający mniejszą rolę niż Poniński (umieszczony na planie pierwszym), stoi w głębi i poniżej wszechwładnego ambasadora carowej. Otóż, ta symbolika, występująca stale w dziełach Matejki, określa też wyraźnie rolę chłopca, rolę ludu, w tych obrazach, gdzie lud ten występuje.

Chłop na obrazie Matejki zjawia się po raz pierwszy już w „Unii” (1869). Jest wyraźnie onieśmielony swą samotnością. Sam jeden w gro-

ciągła aktualność św. Augustyna

(Dokończenie ze str. 2)

podaj wzmianki o tej, która jest podwójną matką św. Augustyna. Rozpatrując etapy rozwoju duchowego i różne wpływy, które oddziaływały na św. Augustyna, nie można zlekceważyć działalności Moniki. Podobnie rzucaenie dyskretnie zasłony na moralne bezdroża św. Augustyna nie jest zbyt szczęśliwe, bo właśnie jego osobiste porażki tłumaczą w wielkiej mierze teoretyczne poglądy Doktora Łąski. Wreszcie biograf nie wspominał o stosunku dialogów do Wyznań, mimo że ta relacja znamionuje fazy wewnętrznej ewolucji św. Augustyna. Wszakże omawiany szkic dobrze przedstawia tło biograficzne pism augustyńskich. Drugi appendix wprowadza nas w pojęcie filozofii św. Augustyna. W tym eseju (autorem jest Władysław Senko) zastępuje na szczególną uwagę urywki (str. 198 — 199) poświęcony wyjątkom niemu rzekomego woluntaryzmu augustyńskiego. Te krótkie a treści-

we spostrzeżenia ujmują istotę intelektualizmu Augustyna.

Najobszerniejszy appendix to rozprawa Juliusza Domanskiego o formie literackiej dialogów św. Augustyna (str. 199 — 228). Autor nie ogranicza się do cudzych poglądów, ale dorzuca do nich swe własne i trafne uwagi. Płystycznie maluje „lokalną barwę” tych dialogów i wskazuje na ich wartości artystyczne ze szczególnym uwzględnieniem rozmowy o porządku. Jeżeli wolno wypowiedzieć jakiś żal, to ten, że problemy filozoficzne nie zostały równie szeroko potraktowane — lecz nie zapominajmy, że jesteśmy wśród filologów, a nie wśród filozofów.

Nie możemy znaleźć lepszego zakończenia dla naszego sprawozdania, które kierujemy do polskiego czytelnika... „Bierz, czytaj”..

Ks. Wacław Eborowicz



po to, żeby nad Polską nie zawarł się grób straszny, beznadziejny, czarny od zdrań i brudny od spodlenia, Kościuszkę z jego prostotą i garstką chłopów — jakby się nie dawał ująć wyobraźni Matejki. Była to epoka może za bliska, za mało archaiczna, zbyt dotykalnie obecna, żeby ją można było sformułować środkami Matejki!..

Zapewne. Zapewne ma w danym wypadku rację Witkiewicz, który w swej pracy o Matejce zajmuje się raczej fakturą malarza niż ideologią artysty. Jakimiż jednak „środkami formuluje” Matejko „Raclawice”?

Znów jak w „Dzwonie” „panowie” (Dembowski, Zajączek) usunięci są na plan dalszy lewej strony obrazu, nikną niejako w lesie, w mroku zapadającego po pracowitym dniu wieczora. Wojsko regularne re prezentowane jest, przez kilku ledwie żołnierzy. Nawet Kościuszkę „podwyższony” (na koniu) nie zajmuje miejsca środkowego. Usunięty jest ku lewej stronie obrazu, w głąb sceny. Ta grupa — to znów statysci. Aktorami są chłopci, lud. Zajmują plan pierwszy, zwartą masą — środek, prawą stronę obrazu. Tylko jeden z chłopów, „czapkuje”, jak tego chce Kazimierz Wyka, tak jest: kłania się czapką do ziemi Naczelnikowi. Ale i Naczelnik z konia kłania się czapką całemu chłopstwu. Inni chłopci nie czapkują bynajmniej nikomu. Są pewni siebie, upojeni zwycięstwem. Wojciech Barłoz nieco teatralnym gestem kładzie dłoń na łufę zdobytej armaty carskiej. Pierze ją tym gestem w posiadanie: to jego własność. Inny, najbliższy widza, trzyma w dłoni włokący się płachtą po ziemi, zdobyty w bitwie, sztandar carski, jeszcze inny ociera w poję sukmanym ostrze kosi skrwawionej jakby mówił: „dość roboty”. Wszyscy triumfują. Są postaciami głównymi obrazu. Oni wywalczyli zwycięstwo.

król wyrzeknie. Polyska stała, jak groźne memento nieziszczonych, danych chłopom obietnic, „Ślubów” królewskich...

Tak. To prawda, że „chłopów w obrazach Matejki na palcach polliczyć można.” Jest ich mniej niż panów i szlachty. Ale rolę ludu w „pisanym przez siebie” dziełach narodu Matejko dobrze znał i wbrew panującej za jego czasu historiografii i ideologii potrafił dać jej wyraz prawdziwy.

Rzecz tę ujął krótko wielki, współczesny mu malarz rosyjski, Riepina, wielbiciel jego talentu, spieszący do Krakowa, by poznać Mistrza. Nie zdążył: przybył na jego pogrzeb. Ale słowa Riepina z owych dni dotad są i będą zawsze żywe.

„Matejko miał wielką, obejmującą naród duszę — i potrafił gorąco i trafnie wypowiadać w swej twórczości miłość dla swego ludu.”



Reinhold Schneider

OSKARŻENIE

przekład Jerzego Gawrońskiego

Cena zł. 16.—

Wszysta Biuro Serżedazy PAX Warszawa ul. Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po włożeniu na konto PKO W w a 1-8515 114 Przy wpłatach na PKO prosimy dołączać 3 — na koszt przesyłki

Andrzej KOSKOWSKI

LITERATURA NA NIBY

Poniżej przedstawiamy PT Czytelnikom fragment sztuki teatralnej, która w całości nie została jeszcze przez nikogo napisana. Zatyłujemy ją np.

LAMPA ZGASŁA

Wyżej wymieniony fragment ujrzymy za chwilę w kilku różnych interpretacjach z tym, iż jeden z Autorów pozwolił sobie przerobić ją na powieść nie mającą ze sceną nic wspólnego. Uwaga: zaczynamy.



Interpretacja I

LAMPA ZGASŁA

autor GOLDONI

Osoby: Ojciec bogaty, serca swej córki nie rozumiejący. Córka jego — dziewczę młode i piękne. Amant córki, przez nią w tajemnicy ukochany.

(Salon ojca. Szpady na ścianach. Stroje epoki. Za kotara ukryty amant. Drzwi się otwierają — wchodzi córka, nieśmiała i zalekciona.)

Córka: — Ojcie, ach ojcie... ach przyszłam, ach...

Ojciec: — Cóż cię sprowadza, o córko, do mnie o tej porze?

Córka (mیلczy i pionisi się)

Ojciec: — Mówże, córko miła, niepokoi się serce moje. Czyżby ten nikczemnik, ten amant niepokoił cię żowu?

Córka (mیلczy strwożona)

Ojciec: — Ha, domyślam się nowego zuchwałstwa. Hej, służba, moja szpada! Hajducy! — strzec komnat panienki! Mów, moja córko jedyna, serce twego ojca — wszak wiesz — czule jest na twe troski dziewczęce.

Córka: — Ach, ojcie jedyny... ach, boję się... (mdleje)

Ojciec (w przerażeniu macha rękami)

Amant (wybiega zza kotary i pada u stóp zemdlonej z okrzykiem):
— Zabiłeś ją — ha, ojcie wyrodnym!

Ojciec (dobywa szpada):
— Broń się, zuchwalcze, śmierć ci i hańba!

K u r t y n a

Interpretacja II

LAMPA ZGASŁA

autor St. Wyspiański

Lampa się nie pali — — —
przez tyle cieniów władza
kollikiem jasności ziemlonej?
Ciemn groźna wokół zapada
z każdej strony. —



Ojciec
(N... stola jego twarz, ni stara
no... wielkie lyse czoto;
P... woleciony w męczarń czoto.
M... go dęca gubia dławia
w myslach gigantów walka wre — — —)

Więc trzeba było, aby o NIA
walkę miał stoczyć? Grom w mą dłoń
ujmę. — Dłoń
szatana w nicość zetrę śmiech
słyszycie?

Chór:
He, he, he, he.

(Tu na scenę wchodzi córka, w strój ludowy wieśniaczki polskiej ubrana. W ręku trzyma kosz; w koszu maki czerwone i białe lilie. Za sceną wiejska kapela gra poloneza Ogińskiego.)

Córka:
Graj kapelo duszę moją
kocham — idę — hen —
opłcione jak powojem
serce dziwnym snem.
Idę — idę — — Na co kwiaty?...
On mnie czeka tam —
nowe blaski, nowe światy
w sercu mam...
(Odrzuca kosz; kwiaty wypadają i wędną)

Ojciec:
Duszę tobie zatrują.
O córko, patrz przed się córko.
Nie słuchaj, kto cię zwodzi
w rozstajne, błędne drogi.
Poganki, błędnice, bogi.
Bądź SYBOLEM, bądź siłą młodzi —
bądź!...

Córka:
... z daleka
wabi mnie on — —
Idę...

(Chce odejść. Muzyka potęguje się.)
Echo:
Kochasz — pójdz, — za mną — słysz!...

Ojciec:
Hej przebóg! Gromy w dionie! —
Gdzie oni?! Gdzie oni?!
Rozpedzę — zniszczę — zniweczę! —
Skrętem błyskawic z chmury! — — —

Chór:
Bzdurw, bzdury...
(Na scenie maski się zjawiają. Podchodzą,
mówią i znikają)

Maska I:
Więc czego pragniesz?

Ojciec:
Aby była!

Maska I:
Wszak jest.

Ojciec:
Jest.

Maska I:
??

Ojciec:
!!!

Maska II:
Więc winna być posłuszną...

Ojciec:
Posłuszną...

Maska II:
...i iść tam...

Ojciec:
Nie TAM!!!
Nie wiem... — jak ciężko — — —
jest czy nie ma?

Do moich ócz nie plynie blask...
czy jest?
Te kwiaty!...
Plonie?! Zgasła?!
Odeszła!...
Tylko drzwiami trzasta...

Chór:
Lampa zgasła — lampa zgasła!...

K u r t y n a

Interpretacja III

LAMPA ZGASŁA

autor: super-automat do produkowania sztuk
teatralnych made in USA

(Gabinet ojca. Szklane ściany. Na nylonowym biurku nogi Ojca i osiem telefonów. Za biurkiem sam ojciec bez marynarki, z cygarem. Wchodzi córka — młoda blondynka w szortach, z papierosem w kąciuku warg.)

Córka: — Hallo, ojcie.
Ojciec: — Hallo, Betty — jak spędziła wieczór?

Córka (ziewa)
— Byłam z Bobem w „Raju Pingwinów”,
a potem rano...

Ojciec: — CO? Z Bobem? Czy ty wiesz, że Bob leży?

Córka: — Może już wstał...



Ojciec: — Humbug! Płajta — rozumiesz?
Ukradł 2 tys. dolarów i oprócz tego wystawił czek bez pokrycia — kretyn.

Córka (oburzona)
— Oszczerstwo! Bob zdefraudował 100 tysięcy!

Ojciec: — Ba, żeby! ale ja wiem lepiej. To jest tuman i jeżeli ty...

(w tej chwili otwierają się klapy w podłodze i w suficie oraz szuflady nylonowego biurka. Wyskakują gangsterzy z bronią wycelowaną w ojca, wśród nich Bob)

WARUNKI KONKURSU ŚWIĄTECZNEGO

„CZY ZNASZ SWÓJ KRAJ”

Złośliwi twierdzą, że konkurs najprędzej rozwiążą „konduktorzy na pociągach dalekomijskich, komiwojażerzy i turyści — lecz my sądzimy inaczej.

Niewielu chyba obecnie jest w Polsce Ludowej ludzi, którzy nie interesują się odbudową kraju, jego rozwojem przemysłowym, którzy nie oglądali, choćby na fotografiach, cennych zabytków sztuki religijnej i świeckiej lub wreszcie nie byli na Wystawie Odrodzenia w Warszawie.

Nagrodę otrzyma ten, kto prawidłowo, posługując się mapą, przeniesie w puste kółka, umieszczone przy każdym rysunku, odpowiednie cyfry i określi do jakiego miasta te cyfry się odnoszą. Uważny czytelnik powie na pewno — bardzo pięknie, ale pustych kółek jest więcej, niż miejscowości na mapie.

Tak, tu zastawiona jest pułapka — do jednego z miast odnoszą się dwa obrazki.

A zatem: ostatni termin nadsyłania odpowiedzi mija z dniem 15 stycznia 1953 r. (Obowiązuje data stempla pocztowego). Listy z wyciętą stroną konkursową należy opatrzyć napisem „Konkurs świąteczny” i przesłać na adres redakcji „Dziś i Jutro” — Warszawa, Mokotowska 43.

Zwycięzców w konkursie czekają liczne i cenne nagrody:

NAGRODA I — kupon wełny ubraniowej.

NAGRODA II — album „Wit-Stwosz”.

NAGRODA III — wieczne pióro.

NAGRODA IV — rękawiczki.

NAGRODA V — komplet płyt

i wiele nagród książkowych wydawnictwa „PAX”

Bob: — Ręce do góry!
(Ojciec podnosi ręce do góry. W całym gmachu słychać okrzyki, dzwonki alarmowe i strzały)

Bob (ze śmiechem):
— Ha, ha, ha — pomyliłeś się stary pierniku, nie 2 tysiące a 2 miliony — wszystko, co jest w pańskiej kasie.

Córka: (rzuca się w ramiona Boba z okrzykiem):
— My darling!

Ojciec (podbiega do nich, trzymając wciąż podniesione ręce) — Bob, niechże cię uściskam. Oto złeć, o jakim marzyłem. Co za głowa! Ukradł wszystko, do ostatniego centa.

H a p p y e n d .

Interpretacja IV

LAMPA ZGASŁA

autor A. Fiedler

Rozdział 25

Splawy głodnej krwi.
Stary Dżinarivelo patrzył w otchłań tropikalnego, tętniącego bujnym życiem lasu, który okalał spokojną wieś Ambinantele. Wieczór rozbrzmiewał głosami żab, nocnych ptaków i owadów, krzyczących, jak roznamieniony tłum ludzi. Cały ten tłum nieznaną coraz głośniej wyrażał swą wieczorną żądzę, a najchciwiej krzyczała ludzka młodzież. Niekana niepokojem dojrzenia, zbiera się ona nocami na skrajach siola i tam swe podrażnienie zmysłów topi w opętanym bicu bębna, w bezustannym tańcu i ogłuszającym śpiewie.

Nagle po schodkach, prowadzących do chaty dostojnego starca, zadudniły szyby szybkie kroki. W drzwiach ukazała się postać ponętnej, kuszącej Benaczełiny.

— Dziadku — krzyknęła drżącym ze wzruszenia głosem — Zarabe... tam — Zarabe...

Stary Dżinarivelo zerwał się.

— Jaktó?! Czy nie wiesz, że Zarabe jest dla ciebie fadzi?! Nie wspominaj mi o nim — jesteś przeznaczona dla białego, potężnego vazahy.

Kragle błodra i pierś Benaczełiny przebiegło zmysłowe drżenie. Dziewczyna nie odrzekła nic.

A tymczasem w kregu podnieconej młodzieży Zarabe, przyjaciel Benaczełiny, śpiewał przeciwko matce. Za nie umiem kochać (sic! — ja nie umiem kochać!) Każde jego słowo, to zatruta strzała, rzucona w grono podnieconej młodzieży — ogarnęła mnie rozpacz: czulem, że Benaczełina, Velomody, Rasoa i wszystkie inne dziewczęta są już dla mnie stracone, a co za tym idzie, jak widmo stanęła mi przed oczami konieczność natychmiastowego wyjazdu z Madagaskaru.

Ale nie: oto Natriko, mój serdeczny, bezinteresowny przyjaciel, pomny obietnicy hojnego honorarium, które mu przyrzekłem za każdą pochwalną pieśń o mnie, zabrał głos. Jego natchniony śpiew sławił wszystkie moje zalety: urok przedniego, złotego zęba i potęgę mego niezrównanego, władczego, dużego nosa. Przez chwilę obaj śpiewacy walczyli o lepsze — ale Natriko zwyciężył: zrodził się tej nocy niezwykły kosmar: nosowa orgia, nosowy upiór, rozpisanie nosa. Dziewczęta zaczęły śpiewać: każda wyrażała tęsknotę do dziecka, które odziedziczyło po mnie złoty ząb i duży nos.



Stary Dżinarivelo słuchał z radośnym uśmiechem i patrzył z wyrzutem na drżącą z pożądania Benaczełinę.

Odetchnąłem z ulgą. A więc będę mógł jeszcze pozostać, moja naukowa wyprawa nie jest pogrzebana. Spojrzałem na mego wlernego kameleona i rzuciłem pytanie:

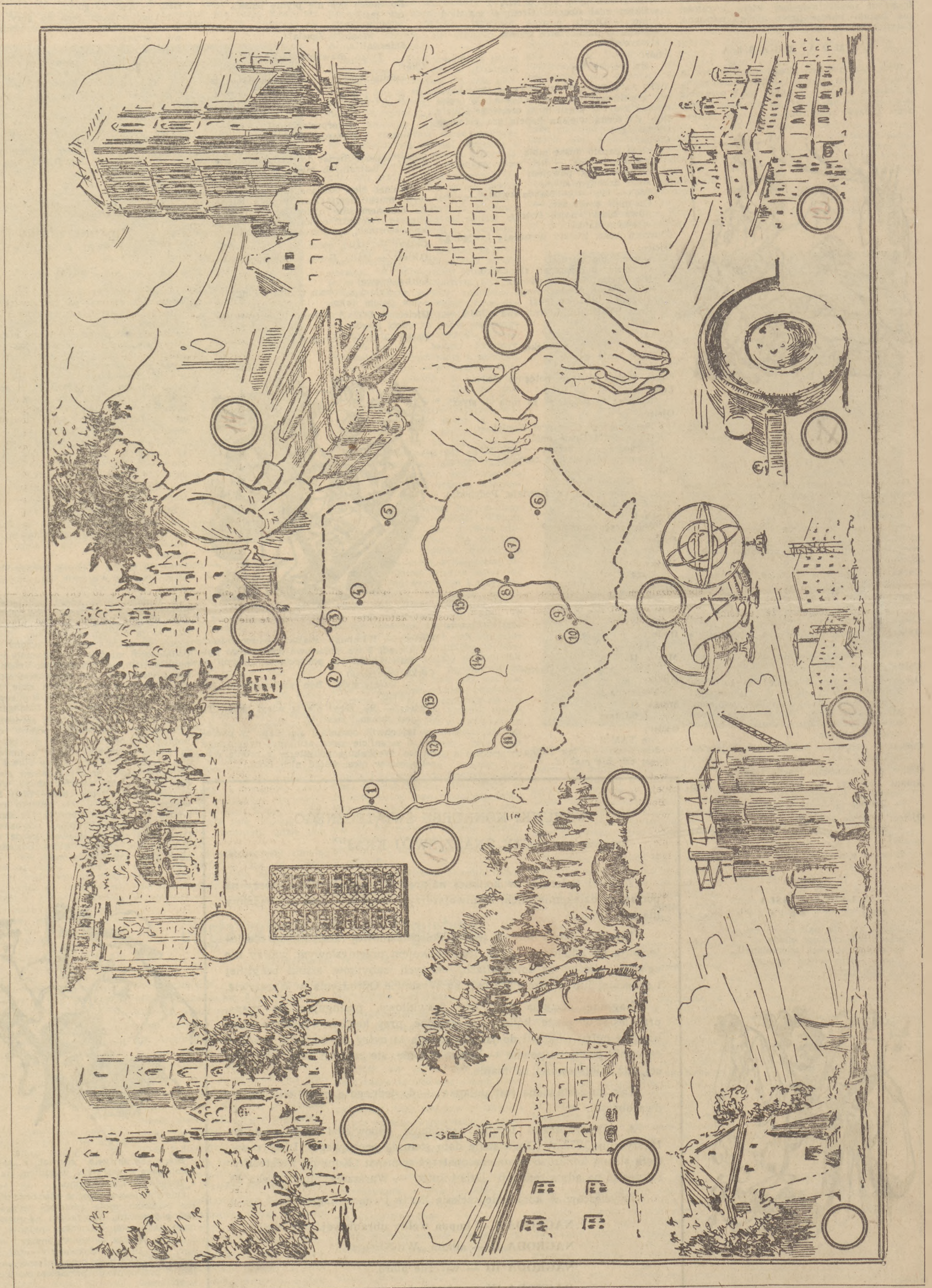
— Jak sądzisz — czy Velomody... — urwałem, nie śmiejąc dokończyć myśli. Dochozące z daleka bicie bębna nieznośnie, aż boleśnie, przypominało przyspieszone bicie własnej krwi.

Domyślny kameleon spojrział na mnie jedynym okiem, drugim śledząc bez przerwy mego rywala Zarabe — i kiwnął potakująco głową.

— K O N I E C —

KONKURS ŚWIĄTECZNY WARUNKI NA STR. 15

C Z Y Z N A S Z S W O J K R A J ?



Redaguje zespół
 Prenumerata miesięczna 4 — zł Kwartalna 12 — zł.
 Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 860 11, 860 12.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
 Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
 Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 2938. 4-B-21613.